Cena 10 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice — Wrocław, 21 kwietnia 1946 r. | Nr. 10 (21)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

Adam Grochowski

JEDNĄ DROGĄ

Dwa razy do roku pojawiają się w pismach bilanse tego cośmy dokonali i po słowach pełnych taktownego niepokoju, następuje gromkie nawoływanie do jedności, serdeczne potrząsanie wyciągniętą ręką, zakończone optymistycznym, staropolskim — kochajmy się! Na Boże Narodzenie i na Wielkanoc panuje Treuga Dei, płyną zapewnienia o wspólnym wznoszeniu ścian drogiej ojczyzny i o podtrzymywaniu dachu.

Nikt temu zbytnio nie dowierza, ale zawsze przyjemniej nie zakłócać sobie świątecznego obżarstwa. Oczywiście po dwu dniach prasa partyjna nawraca do tej samej zajadłej walki.

Jedność ideowa jest u nas niemożliwa i nawoływanie do niej jest nonsensem. Polacy to przekorny naród, nie znoszą uszczęśliwiania siłą, prostackiego zaganiania na jedno podwórko. Nasz przesadny indywidualizm ma cechy infantylne, każdy chciałby wszystko — siam, siam! Z każdym pokoleniem wszystko u nas zaczyna się na nowo.

Ale są wypadki kiedy ci indywidauliści schodzą się wszyscy razem, nawet niebardzo zaskoczeni tym nagłym spotkaniem. Przemyślenia i zmiany wewnętrzne dokonują się w każdym osobniku, by w końcu doprowadzić do skupienia w ruchach o zdecydowanym kierunku. I ta dojrzałość jednostkowa, samodzielne roztrząsanie problemów, wreszcie znalezienie pokrewnych wszystkim rozwiązań jest bardziej cenne, jak tępy posłuch i bezmyślna dyscyplina.

W ostatnich trzech latach przed wojną pomimo poprawy materialnej jaka nastąpiła po przełamaniu kryzysu, dawało się wyczuć wyraźnie niezadowolenie wszystkich warstw społecznych. Byliśmy świadkami zaniepokojenia sfer rządzących, które próbowały wyłowić zasadnicze nurty ideowe i zużytkować je na wzmocnienie swej pozycji, pamiętamy ten kłopotliwy wachlarz od kadzichłopów po OZN. Od radykalnych rozstrzygnięć powstrzymywał nas jedynie argument bliskiej wojny, przed którą nie było rozsądnym podważać rząd. Gdy we wrześniu wychodziliśmy do walki, wiedzieliśmy, że broni nie złożymy, zanim władza nie ulegnie uspołecznieniu. Oczywiście miało się to dokonać po zwycięskiej wojnie. Nastroje te były łatwo wyczuwalne, może i one były jedną z przyczyn opóźnionej mobilizacji.

W czasie pięciu lat okupacji przemiany dokonywały się jeszcze gwałtowniej, tasowały się warstwy społeczne, życie jednostki nabierało głębokiego sensu w podporządkowaniu zbiorowości, w organizacji. Konieczność wielu przeobrażeń gospodarczych nie podlegała dyskusji.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że Polskę zmartwychwstałą wyobrażaliśmy sobie na podobieństwo tej, która nas otacza. Nie, mieliśmy inne, może zbyt marzycielskie obrazy. W każdym razie, jasnym było dla każdego, że do form przedwrześniowych, jako do ideału państwowości nie powrócimy nigdy.

Charakterystyczny, ofiarny maksymalizm cechuje lata walki. To nieprawda, że jedynie lewica była źródłem dokonujących się dziś przemian. To tylko przypadek, drobny „przypadek dziejowy", że dziś im przypadł zaszczyt realizowania tego, co dojrzewało w narodzie w ciągu tych długich nocy okupacyjnych.

Przypominam sobie dyskusje w organizacji, raczej w ruchu katolickim, bo tak się nazwała wówczas Unia. Byliśmy bardziej radykalni i skłonni do reform, niż ci, którzy dziś nazywają się rewolucjonistami łagodnymi.

Na przykład sprawa reformy rolnej, głównej chluby partyj rządzących była przez nas wielokrotnie rozpracowana. Pamiętam tytuł broszury: „Ziemia, wielka fabryka". Mówiono w niej o zaoraniu miedz, a wręczeniu chłopu wzamian akcyj odpowiadających ilości wcielonych we wspólnotę morgów. Wykazywano wyższość gospodarki planowanej w ramach choćby województwa, nad indywidualnymi zagonami kapusty, ziemniaków i żyta, które we większej części pochłania sam chłop. Proponowano oddanie jednego województwa pod eksperymenty. Przekonywano, że rozbudowany przemysł przetwórczy, rozrzucony, wchłonie z łatwością młodzież bezrolną, nie dopuszczając do dalszego rozdrobnienia gospodarki przez działy spadkowe. Chciano by ten przemysł drogą premii, zapewnieniem skupu doprowadził bez przymusu do poddania się gospodarce planowej. Właśnie dzięki łatwości zbywania wyprodukowanego np. rzepaku, chłop mógł sobie nabyć i kapustę i ziemniaki i jeszcze zyskiwał nadwyżkę w gotówce. Dzięki temu możnaby było wyciągnąć maksimum korzyści z roli.

Przypominam sobie kapitalne referaty nieodżałowanego Karola Konińskiego, jednego z najciekawszych umysłów lat ostatnich, fanatycznego katolika i żarliwego reformatora. Mówił on o ewolucji pojęcia własności, która coraz bardziej staje się dożywotnim użytkowaniem, a ponieważ wszystko co zdobywamy, czego się „dorabiamy" jest wynikiem wymiany, wypadkową pracy nawarstwionej całych generacji i otaczającego nas społeczeństwa, które nas wyzwala od dożywotniej robinsonady — więc posiadanie i użytkowanie musi być użytkowaniem wymiennym, służebnym.

Każdy kto się uchyla od przyjmowania i oddawania pracą usług społecznych jest pasożytem i złodziejem społecznym. Po prostu trupem.

Referatów tych słuchali nie tylko inteligenccy doktrynerzy, ale artyści, naukowcy, kupcy i dziedzice. Wielu z nich mówiło — Jeżeli dobro kraju wymaga naszej ziemi, jesteśmy gotowi ją oddać. I mówili to szczerze, bo wielu z nich oddało i życie.

Zdaje mi się, że to olbrzymi krok naprzód, odmiana dokonana pod presją tych straszliwych lat grozy. Przecież jeszcze pamiętamy jak ci „katolicy" demonstracyjnie występowali z rady przy prymasie Hlondzie, gdy przyszło do deklaracji postulującej reformę rolną.

Marzyliśmy o uspołecznieniu władzy, o jak najdalej posuniętym samorządzie. Marzyliśmy o zjednoczeniu narodów — Polaków, Czechów, Węgrów, Serbów, Rumunów i Greków. Miał powstać jeden blok krajów dobrowolne łączących się unią — wspólną polityką zagraniczną, wspólnym planowaniem ekonomicznym. Obywatel każdego z państw zjednoczonych miał być równorzędnym obywatelem pozostałych. Kraje miały zachować swoje ustroje, czyn nikiem nadrzędnym miała być rada prezydentów i królów. Był wtedy jeszcze i król serbski, był grecki. Rosji nie braliśmy w rachubę, była dla nas za duża, baliśmy się jej dwustu milionów. Nazywał się ten związek republik i królestw — Związek Trzech Mórz. Wierzyliśmy, że z naszego zgodnego współżycia, weźmie przykład związek republik łacińskich, potem skandynawskich i anglosaskich, którym podporządkowane będą pokonane. Niemcy. W ten sposób zbliżymy się do idealnej Republiki Globu.

Nie śmiejcie się, każde marzenie ma w sobie wartości odkrywcze, wspominam o tym, co dziś można zbyć wzruszeniem ramion, by scharakteryzować nasz maksymalizm, szukanie natchnień w naszej historii i rzutowanie ich, może nierealne na współczesność. Wierzyliśmy, że świat obmyty krwią wstanie nowy, lepszy, a polska idea braterstwa ludów dokona dobrowolnego zjednoczenia, do którego narody dojrzały, bez przymusu i gwałtu.

Dlatego dziwi mnie przechwalanie się radykalizmem u pewnych partii politycznych. Dokonywane reformy dojrzały w nas wszystkich, musiały już wreszcie wybuchnąć — jedyną ich rewolucyjną cechą był sam sposób wykonywania. Dzielono ziemię bez teodolitu, kołkami i sznurkiem. Tak samo jest z upaństwowiniem. Jeżeli przejrzymy programy partyj postępowych, znajdziemy te same hasła i projekty, różnice są tylko w nomenklaturze. Nie zostały one przejęte od P. P. R., ale powstały w rezultacie długich przemyśleń w latach wojny.

Często spotykamy się z zarzutem, dlaczego katolicy nie idą w awangardzie społecznej, dlaczego nie ich rękami dokonuje się przemiana.

Otóż trzeba sobie uświadomić jedno, że większość reform dokonuje się za całkowitą zgodą mas katolickich, dla których są one stopniowym realizowaniem sprawiedliwości społecznej. Dyskusji musi podlegać zerwanie konkordatu, czy reforma prawa małżeńskiego, czy choćby głupstwo, dzień mięsny w piątek, zmiany te musimy potraktować jako ostrogę.

Reformy wypływają z woli narodu, bo protestów jest nie wiele, w narodzie większością są katolicy, więc nie może całej zasługi zgarniać lewica. Jeżeli rzeczywiście jesteśmy tą większością, po odpadnięciu tych letnich i zdyscyplinowaniu, od

(Ciąg dalszy na stronie 2-giej.)

Perspektywa Odry

Rok temu przybyli do Szczecina pierwsi Polacy. Przybyli do miasta, w którym tupot wieków zdusił już wszelkie pędy słowiańskiego życia, zaklętego jedynie w kamienne i papierowe pomniki. Było pochmurne sobotnie popołudnie, dygotały niedaleko armaty, kiedy przybył do miasta po raz pierwszy obecny prezydent. Ów dzień 28 kwietnia 1945 to próg nowej epoki dla Szczecina.

Potem były pierwsze rozczarowania. Dwukrotnie musiała administracja polska opuszczać miasto, po dwakroć trzeba było oddawać w ręce Niemców uruchomione piekarnie. Ale zaraz potem nastąpiły także pierwsze radości. Do największych należała niewątpliwie chwila, w której oznajmiono w ciemnej, ratuszowej sali niemieckiemu zarządowi miasta, że mocą uchwał Konferencji Poczdamskiej Szczecin wraca definitywnie do Polski, że miasto przejmuje administracja polska, szkoła polska i wojsko polskie.

Odtąd troska nasza poszła w dwóch najważniejszych kierunkach. Po pierwsze w kierunku wysiedlenia z miasta i okolicy Niemców, po drugie w kierunku przejęcia i zagospodarowania portu szczecińskiego. Obie sprawy są problemami o znaczeniu międzynarodowym i o ile dotychczas udało się nam zdobyć podstawy polityczne i prawne pod rozwiązanie problemu pierwszego, o tyle trudniej układają się realia w kręgu sprawy drugiej.

Powstała Szczecińska Dyrekcja Odbudowy Miasta. Zarząd miasta nie czekając na pierwszy przyznany kredyt wykonał już od lipca do października ub. roku sporo pracy w dziedzinie uporządkowania i częściowej odbudowy miasta. Fundusze przyznane dotychczas Dyrekcji Odbudowy w Szczecinie są w stosunku do ogromu prac dość niepozorne. Przyznano wprawdzie już 45 milionów złotych, ale aby przeprowadzić połowę przynajmniej zamierzonych prac trzeba będzie doczekać następnych funduszów przyznanych w wysokości 150 milionów złotych.

Praca polska w Szczecinie to nasz argument polityczny. Człowiek polski w Szczecinie to nasz argument historyczny; jest to bowiem ten sam człowiek, który tu był przed wiekami, mówi tym samym słowiańskim językiem i pragnie tu tak samo jak wówczas — żyć i pracować.

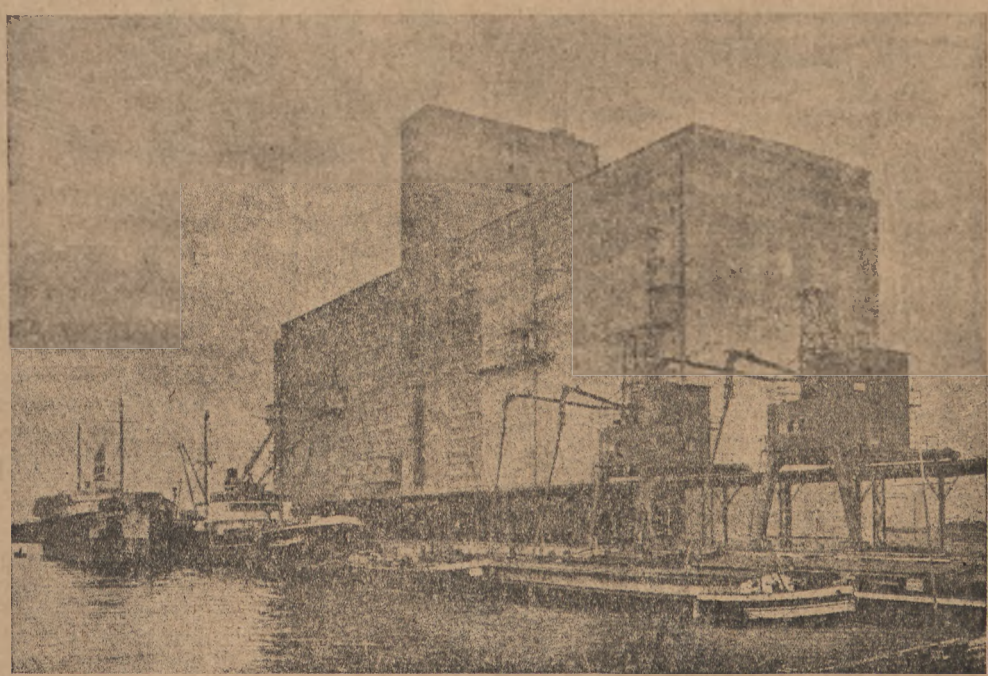

Szczecin, elewator zbożowy w porcie.

Biblioteka Instytutu Bałtyckiego w Gdańsku

Stanisław Helsztyński

Dąb, Miedwie i ks. Kozierowski

Zdaje się, że do najszczęśliwszych pracowników dzisiejszego dnia należy ks. kanonik Stanisław Kozierowski, proboszcz w Winnogórze koło Miłosławia. Poświęca wolny od duszpasterstwa czas badaniom nazw topograficznych, zgromadził w ciągu 40 lat olbrzymi materiał, dotyczący rozmieszczenia plemion słowiańskich aż po Łabę.

Przed laty, kiedy ks. Kozierowski drukował swoje zeszyty geograficzne, wydawać się mogło, że jest to przedsięwzięcie czysto papierowe i akademickie, bez znaczenia praktycznego. Co najwyżej można było uważać wydawnictwa te za pomniki i nagrobki wymarłych czy zgermanizowanych ludów słowiańskich.

Było to w każdym razie mocne podtrzymywanie tezy i udowadnianie w tysiącach przypadków, że ziemia ta, na której Niemcy siedzieli, była słowiańską. Pozwalało nam w pół-germańskich, pół-egzotycznych nazwach doszukiwać się czystego źródłosłowu słowiańskiego czy polskiego.

Wiedzieliśmy, że na Rugii ostatni mieszkaniec słowiański zszedł do grobu w wieku XV, że w Hanowerskim brat Słowianin wyrażał swą wolę w testamencie , pisanym w rodzimym słowiańskim języku, ostatni raz w wieku XVIII. Nazwy okazały się trwalsze od żywej ludzkiej krtani. Trwały nawet po wymarciu całych plemion i przechowywały pamięć o nich.

Dzisiaj z chwilą bezprzykładnego powalenia na ziemię mocarstwa niemieckiego i powrotu ziem nadodrzańskich do Polski, prace ks. Kozierowskiego nabrały zupełnie innej wymowy, innej barwy i znaczenia praktycznego.

Kiedy przyjechałem z ekipą wojewódzką do Piły w kwietniu ub. roku, zgłosił się do nas w pierwszych dniach funkcjonariusz dyrekcji kolei z listą 400 miejscowości stacyjnych, żeby otrzymać ich nowe, a właściwie prastare, słowiańskie brzmienie.

Nie będziemy więc odtąd, będąc na Pomorzu Zachodnim, jeździć do: Stolp, Rummelsburg, Schlawe, Köslin, Neustettin, Dramburg, Schivelbein, lecz do: Słupska, Miastka, Sławna, Koszalina, Szczecinka, Drawska, Świebowiny. To samo dotyczy innych miast jak: Arnswalde — Choszczno, Friedeberg — Strzelec, Söldin — Myślibórz, Landsberg — Gorzów, Deutschkrone — Wałcz, Schönlanke — Trzcianka, Flatow — Złotów, Schlochau — Człuchów, Greifenhagen — Gryfin, Regenswalde — Ławiczka, itd.

Najmilszą moją lekturą w czasie pobytu na Pomorzu Zachodnim był pierwszy zeszyt atlasu ks. Kozierowskiego, dotyczący Słowiańszczyzny Zachodniej, obejmujący imionnictwo topograficzne Słupska, Kołobrzegu, Piły i Szczecina.

Brałem najpierw tablice z nazwami słowiańskimi i zagłębiałem się z lubością w te dźwięki i brzmienia, które utrwalone zostały w kodeksach, księgach sądowych, nadaniach, statutach książąt pomorskich, kronikach klasztornych, zapisach wielmożów. Nic tu germańskiego, obcego, — same swoje słowiańskie, polskie, kaszubskie, pomorskie nazwy. Tu czytasz i zapamiętujesz sobie osady takie jak: Krępa, Niebędzino, Głuszyno, Klecino, Stojęcino, Święcino, Leśnice, Grabce, Dąbrowa, Karwno, Pogorzelice, Zdrzewno, Kopaniewo — wszystko w powiecie Łebno. Tam znowu inne lgną do serca: Pustkowo, Żelazno, Golice, Przystań, Kleszcze, Uniesty, Trzcica, Łazy, Sucha, Wyszobórz, Żabowo, Wiązowagóra, Okunino, Secemino, Ględzinowo, Jaźwinki, Pomianowo — to w powiecie Koszalin.

Jest tych powiatów kilkadziesiąt, a każdy przynosi nowe słoworództwo, nowe bogactwo pięknych, słowiańskich nazwań i mianowań. A więc jeszcze dla przykładu spójrzmy na Kołobrzeg z sąsiedztwem, gdzie złocą się i błyszczą klejnoty takie jak: Bogucino, Nekanino, Czernino, Kędzierzyno, Unieszyno, Pławęcino, Dębogory, Pustarz, Bezpraw, Niemierz, Wołonośna, Kaczyna, Dźwiszno, Gałęzia, Siemigroźno, Petrykozy, Białokury.

Gdy się czyta te nazwania, przypomina się bulla papieska z 1136 r. dla Jakuba ze Żnina, wyliczająca chłopów pracujących po osadach dla arcybuskupstwa gnieźnieńskiego. Szacowne, poważne, ziemiorodne, z glebą związane nazwy, szorstkie, twarde, żwirem oblepione głazy lodowcowe.

Dodatkową przyjemność sprawia czytelnikowi map ks. Kozierowskiego porównywanie ich z atlasami niemieckimi. Przekonamy się wówczas, jak płytko tkwi pod zewnętrzną, szpetną osłoną niemiecką polskie, zdrowe, mocne ziarno. Starczy potrudzić się nieco i pomyśleć, aby potem stwierdzić autorytatywnie u naszego uczonego, że Bad Polzin to po prostu Połczyn, Pollnow to Polanowo, Bärwalde to Barwice, Kolziglow to Koziegłowy, Pyritz to Pyrzyce.

Sprawa właściwego odcyfrowania nie zawsze jednak przedstawia się tak jasno. Gdy jechaliśmy z Piły do Szczecina, trafialiśmy nazwy takie jak Kallies, Labes, Reetz, Lipehne, Bahn, Alt-Damm. Nie starczy tu być językoznawcą, aby dotrzeć do sedna sprawy, trzeba zaglądnąć do dokumentu, czyli innymi słowy, do atlasu ks. Kozierowskiego i szukać jego światłej rady.

Dopiero w ten sposób dowiedzieliśmy się, żeśmy jechali przez Kalisz, Łobez, Rzeczycę, Lipinę, Banię i Dąb. Ten Alt-Damm intrygował mnie jeszcze w Poznaniu. Próbowałem tłumaczyć go przez Stara Tama czy coś podobnego. Było to błędne. Niemcy poszli w tym wypadku za wskazówką słuchową, i z „Dąb" zrobili „Damm". W dokumentach średniowiecznych figuruje jezioro Dąb.

Jeszcze jedno jezioro było w drodze przedmiotem dociekań ze strony nas, podróżników. Przejeżdżając koło Starogardu, tego zachodnio-pomorskiego Starogardu nad Iną, byliśmy zachwyceni daleką, lśniącą taflą olbrzymie rozległej fali. Pośród ogrodów, zagajów, lasów, wśród dziesiątek will i restauracyj, sielankowych ustroni turystycznych, spoczywa ta mała perła jezior Pomorza Zachodniego, a zwie się Madü-See. Co u licha znaczy ta nazwa? A raczej co w niej tkwi słowiańskiego? Wiadomo przecież, że pola, jeziora, lasy, uroczyska są napewno na Pomorzu Zachodnim czysto słowiańskie. Zaglądnąłem po przybyciu do Szczecina do mego przewodnika, do ks. Kozierowskiego: jezioro Miedwie. Widocznie Niedźwiedź, bo „miodojedźcą" zwał się u Słowian niedźwiedź. Wioska nazwy Niedźwiedź leży koło jeziora Madü-See.

Największą niespodziankę zrobił nam Szczecin. Wiadomo, że od szczeci, traw i sitowia, nazwę wiedzie, co Niemcy napróżno przez jakiś czas mianem Borsta wyrazić chcieli, aż zostali przy lekkim zgermanizowaniu polskiego źródłosłowu: Stettin. Żeby dokoła miasta roiło się od słowiańskich osad, wiosek, tego w najbujniejszych marzeniach nie śnił prosty Polanin XX wieku, bo praszczur jego z XII i XIII o tym z doświadczenia, służąc w drużynie Bolesławów.

Podjeżdżamy do miasta od południa. Na lewo Pritzlow. Toż to Przecław. Dalej Scheune. To tłumaczenie z polskiego Gumienno. Dalej Pommernsdorf — Pomorzany, Kretzkow — Krzekowo, Züllichow — Żelechow, Warsow — Warszewo.

Zaskoczony takimi faktami, zaglądam do map ks. Kozierowskiego. Wszędzie, do samego wybrzeża, to samo zjawisko: Pölitz — to Police, Turglow to Turzegłowy, Köpitz to Kopice, Stöpenitz to Stopnica, Gollnow to Golonów, Kammin to Kamień, — dziesiątki, setki, tysiące takich przeróbek, przekształceń, przemianowań, z pod których wyziera złoty kruszec słowiańskiej warstwy głębinowej.

Łatwą jest akcja reslawizacyjna w zakresie nazw topograficznych na Pomorzu Zachodnim. Starczy mocno potrzeć zaśniedziałą patynę, a żywa, dźwięczna miedź odezwie się z pod pyłu wieków i zabłyśnie dawnym blaskiem na karcie nowej wyzwolonej Polski, tej, o której Niemcy twierdzili, że nie będzie jej już nigdy na atlasach Europy.

Ożyją dawne nazwy, dawne grody, kasztelanie, ziemie, o których tak lekkomyślnie prawie już zapomnieliśmy. Wyraźnie dokumenty mówią o 30 prawie ziemiach tu nad Odrą, które były związane z macierzą z nad Warty, Noteci i Obry. Widnieje przy nich najczęściej rok i wiek XIII z uwagą: „Do Polski", Versus Poloniam.

Szczególne wzruszenie wywołują w czytelniku zapiski dotyczące nie tyle osad co gór, rzek, jezior, lasów, uroczysk, puszcz. Tu już nie prozą życia codziennego, lecz jakby nastrój religijny, poezja, duch Słowian uwiecznił się najgłębiej. A z zeszytów geograficznych ks. Kozierowskiego wynurzają się raz po raz góry: Czarna, Wysoka, Polska. **Jeziora:** Brzeźno, Grzybno,Jelenino, Przytoń, Chocibądz. **Lasy i puszcze:** Mirowska, Dąbrowa Otoczysta, Polskie Sosny, Las Stawin, Kukań.

Gdy odczytuje się te nazwy, zdaje się, że słuszymy szum jezior, śpiew ptaków, które tu żyły, że wdychamy woń lasów, które tu rosły, a przede wszystkim ulegamy złudzeniu, że mówi do nas jeszcze brat nasz, Słowianin, który tu pracował i walczył.

Zdajemy sobie sprawę, że kolegia uczonych, akademie, komisje, dalsze dociekania skrystalizują w szczegółach w imionnictwie Ziem Odzyskanych.

Nie ulega jednak wątpliwości, że mowę dawnych Słowian zamieszkujących te ziemie, zaklął w swych atlasach topograficznych ksiądz Kozierowski w swych pionierskich badaniach i to stanowi jego wielką zasługę.

Jedną drogą

(Dokończenie ze strony 1-szej.)

nas tylko zależy, by nadać piętno chrześcijańskie dokonującym się przemianom. Nie nas tylko zależy, by nadać piętno chrześcireforma nas dzieli, ale idea, z której się ją wywodzi.

Gdy ruch marksistowski zasadza przemianę na walce klasowej, „zdrowej nienawiści", katolicy pragną dokonywać jej w imię miłości społecznej i poszanowania praw bliźniego. Posiadanie nie jest przywilejem, ani uwolnieniem od pracy — posiadanie nakłada ogromne obowiązki społeczne, których wykonywanie musi być pod społeczną kontrolą. Egoistyczne użytkowanie własności jest zbrodnią społeczną i musi podlegać karze. Uświadomienie sobie wśród katolików przemian, jakie dokonały się w nas samych, doprowadza do przekonania, że katolicyzm nie jest szyldem osłaniającym wszystko co wsteczne i oporne, co wrogie naszym czasom.

I choć dzielą nas idee, choć katolicyzm i marksizm będą zawsze we wojnie, skutki społeczne, pomimo różnych metod, będą bliskie. I tu właśnie na platformie oswobadzania człowieka, budowania nowej doczesności może nastąpić spotkanie i spokojna rywalizacja. Wyłącznie od ilości katolików nie izolujących się, ale wprzęgniętych w pracę nad kształtowaniem nowej Polski, realizujących radykalne wskazania katolickie, będzie zależało, która z idei nada piętno naszym czasom, jaki znak będzie powiewał na szczycie.

Ale na razie droga marszu jest jedna.

Stanisław Ostrowski

Wiersz wielkanocny

Podaj tonącym rękę, ucisz fale burzy —
Postokroć Cię zdradzono, lecz Ty zdrad nie liczysz;
Oparł Chrystus wzrok smutny na warszawskim murze:
Krew zaschła plamą rudą — też kielich goryczy.

Darmo oliwna gałąź gołębiami kwitnie —
Palma granatu ciężko nad ziemią się waży;
Chłopcze szesnastoletni, zanim zginiesz szczytnie,
Sekret prawdy ostatniej czytam z twojej twarzy!

Nie nam kołysać dzwony śpiewem Alleluja —
Bo jakże się radością zachłysnąć: Hosanna! —
Kiedy serca krom bólu niczego nie czują,
A nieszczęście na głowy sypie się jak manna?

Galilejczyku, cofnij się do schronu grobu —
Niema dla Ciebie miejsca tu, ni dla miłości!
On nie słuchał; szedł jasny i gwarzył ze sobą:
Błogosławieni którzy giną dla wolności.

1944

„Polsce Odra potrzebna była i jest do obrony, a Niemcom do napaści! Tylko zdecydowany wróg Polski, tylko zdecydowany przyjaciel Niemiec, pochwalający ich zbrodnie, nie przyzna Polsce jej przyrodzonych, obronnych granic nad Nisą i nad Odrą, praw do Śląska, Pomorza i Mazur, które Niemcom służyły jako bazy wypadowe przeciwko Europie.

„A jeśli by kto zażądał plebiscytu nad Nisą, we Wrocławiu, Gdańsku czy Szczecinie, to owszem, Polska zgodzi się nań, lecz pod warunkiem, że do urn wyborczych dłoń sprawiedliwa dosypie prochy milionów Polaków zamordowanych w Oświęcimiu, Majdanku, Treblince, Dachau i Katyniu. Niech do głosów wyborczych przyłączy się chór wieków nabrzmiały krzywdą wytępionych Słowian. Niech zaważy głos krwi zniemczonego ludu."

(Władysław Jan Grabski: Polska nad Nisą, Odrą i Pasłęką. Lignica 1945).

Irena Barowa

Między legendą a rzeczywistością

Kult, który społeczeństwo amerykańskie zachowało dla Kościuszki nie tylko jako dla bojownika o wolność Stanów, ale jako dla niezwykle szlachetnej indywidualności czerpie swe źródło przede wszystkim w legendzie. Nie umniejsza to w niczym rzeczywistej sławy bohatera, bowiem tylko wokół niezwykłych postaci płonie aureola legendy. Przeciętne życie przeciętnych ludzi nie ma swych mitów. Przekazana tradycją legenda złączona z imieniem Kościuszki upraszcza raczej skomplikowany bieg wydarzeń, z zawiłej mozaika historycznych faktów nie wybiera najistotniejszych i ogromnie łagodzi rzeczywistość najeżoną trudnościami płynącymi zarówno z obcości środowiska, braku środków materialnych i nieznajomości kontynentu, który musiał Kościuszko przemierzyć od granic Kanady aż po mokradła puszcz Karoliny, często tylko na własną przedsiębiorczość zdany.

Pożółkła korespondencja, fascykuły pamiętników i dokumentów świadczą o wytrwałej i rzetelnej pracy umysłowej zdolnego polskiego inżyniera, którego legenda chce widzieć przede wszystkim wśród bitewnej wrzawy, z orężem w ręku walczącego o wolność Stanów. Podwaliny tej wolności cementował on tymczasem trafnością strategicznych postrzeżeń, i doskonałością swej fachowej wiedzy wśród długich peregrynacji trwającej całymi miesiącami wśród stepu i gór, poprzez mokradła i dziewicze puszcze.

Legenda Kościuszce — ochotnikowi armii amerykańskiej tuż po przybyciu do Stanów przypisała następujące spotkanie z naczelnym wodzem Jerzym Washingtonem.

W New Yorku, w głównej kwaterze między tymi dwoma niezwykłymi ludźmi miała się rozegrać jesienią 1776 następująca scena:

— Czego pan tu szuka — lakonicznie pytał Washington prezentującego się Polaka.

— Przychodzę walczyć, jako ochotnik, za amerykańską niepodległość — odparł po prostu Kościuszko, a ponieważ odpowiedź to wydała się Washingtonowi w porównaniu z zarozumiałymi i wielce wygórowanymi żądaniami innych cudzoziemców szczera, a przede wszystkim bezinteresowna, łagodniejszym tonem spytał jeszcze:

— What can I do for you? (Co dla Pana mogę uczynić?)

— Try me! — padła tym razem lakoniczna odpowiedź z ust Kościuszki. Tak chce legenda. Chociaż Kościuszko znacznie później spotkał się z Washingtonem, a nigdy nie był jego adiutantem (jak również chce legenda), to przecież w rzeczywistości niczego bardziej nie pragnął niż wypróbowania swych umiejętności, swej przydatności fachowej przez wojskowe dowództwo amerykańskie. W tym przecież celu zamiast antichambrować u wpływowych osobistości, po prostu zaraz po swym wylądowaniu w Filadelfii, którą na gwałt w sposób wielce domorosły i przypadkowo fortyfikowano, przedłożył Kongresowi projekt właściwych umocnień Na rezultat swego memoriału nie czekał zbyt długo. Z polecenia wydziału wojennego dnia 24 października 1776 r. wydano przekaz do bankiera p. Nesbitt na korzyść Monsieur Kościuszko, na sumę 50 funtów szterlingów, jako nagrodę za plan fortyfikacji przylądka Billinge, a o kilka dni wcześniej przysłano pateten, t. j. nominację na pułkownika inżynierii z pensją 60 dolarów miesięcznie.

Kościuszko dał się więc „spróbować" — zdobył wielką szansę życiową, zaufanie do swej wiedzy i umiejętności, szczęście miał jednak tylko w legendzie. Życie krzyżowało mu plany. Oto warownia Billingsport została przez powstańczą armię ewakuowana dnia 13 grudnia, a w poprzek projektom fortyfikacyjnym, jakie przedstawił wezwany do umocnienia kluczowego punktu u zbiegu jezior Champlain i George, stanowiących ważną pozycję strategiczną pozwalającą na utrzymanie północnej części Stanu New York, stanął nieudolny, ale za to mający wcześniejszy patent pułkownika inżynierii Francuz Baldwin.

„Niech Kościuszko wróci tutaj, na miłość Boga i to jak można najprędzej — pisał rozpaczliwie do głównej kwatery wysłannik Washingtona z fortecy Tinconderoga, oceniający trzeźwo sytuację, Wilkinson. Niestety straconego czasu nie dało się już nadrobić. Otoczeni przez armię generała Burgoyne powstańcy ujrzeli na szczytach wzgórz Hope i Defiance, które Kościuszko pragnął obwarować i zamienić na reduty artylerii — armaty — ale angielskie.

Gdy angielski sztandar załopotał z murów pośpiesznie i cicho ewakuowanej fortecy „na złą dolę skazany Kościuszko — zapisał w pamiętnikach towarzysz odwrotu Wilkinson — był wtedy, jak w poprzednich miesiącach, wspólnikiem mojej kołdry, pod którą sypialiśmy razem." Pierwszy więc raz zbiegiem okoliczności, drugi fałszywymi ambicjami i zawiścią ludzką zostały unicestwione pomysły Kościuszki, pomysły przemyślane i oparte na głębokiej znajomości strategii.

Szczęśliwa gwiazda zabłysła mu dopiero wśród puszcz i bagien u jeziora Saratoga, nad pogórkiem Behmisa. Dzisiaj amerykańscy kuracjusze bawiący się beztrosko w luksusowych hotelach, zażywając ożywczych kąpieli i odbywając przyjemne promenady na wzgórze Behmisa, tylko w chwilach narodowych uroczystości uzmysławiają sobie rolę jaką odegrało to wzgórze i polski inżynier o trudnym do wymówienia nazwisku „Koskeusko", w dziejach Stanów Zjednoczonych.

Intuicja Kościuszki i jego roztropność sprawiły, że wśród dziewiczej puszczy wyrosłej na gruncie bagnistym, wśród leśnych pagórków, na wąskiej przestrzeni, między rzeką Hudson a jeziorem, wybrał właśnie to najwyższe wzgórze za główną pozycję artylerii, wiedząc, że pod jej obstrzałem żadna armia świata nie zdoła bez poważnych strat sforsować dziesięciokilometrowego przesmyku. Ta sama intuicja i doskonała znajomość rzeczy pozwoliły mu odnieść sukces nad inżynierem Radier, który zapoczątkował roboty nad umocnieniami słynnego West-Point. I nie tylko to zadecydowało o przewadze Polaka, zadecydowały również cechy jego charakteru. Jenerał Dougall 13 kwietnia 1778 roku pisał do Washingtona: „Pan Kościuszko, zdaniem tych, którzy oglądali roboty w West-Point, ma więcej praktyki od pułkownika Radiere i sposób jego obchodzenia się z ludźmi jest przyjemniejszy, niż tego ostatniego." W tydzień później otrzymał gen Dougall decyzję naczelnego wodza, która słuszną dumą mogła napełnić serce polskiego cudzoziemca. Washington pisał:

„Ponieważ pułkownik Radiere i pułkownik Kościuszko nigdy nie zgodzą się na jedno więc sądzę, że lepiej będzie kazać Radie'rowi, żeby wracał tym bardziej, że jak pan powiadasz, Kościuszko lepiej się nadaje do charakteru i ducha ludu naszego." Czyż taka opinia nie wydaje się bardziej wzruszająca przez swą lakoniczną rzetelność, niż wszystkie powiastki o dobrym sercu Kościuszki, który w West-Point ze swego skromnego żołdu zasilał jeńców angielskich!

Czy dowodem odwagi, rzutkości, przedsiębiorczości, poświęcenia, inicjatywy i poczucia pełnej odpowiedzialności nie jest ekspedycja, jaką niemal samotrzeć wykonać musiał 8 grudnia 1780 r. z polecenia generała Greene, wzdłuż zdradliwej, niezbadanej rzeki Pedee? Sporządzić mapę grząskich bagien, wyznaczyć odpowiednie brody, zbadać możliwości zaprowiantowania dla armii, zorientować się w środkach komunikacji kraju dzikiego, mało dostępnego, w ciągu miesiąca i wysłać tak dokładny raport, że przyznano mu oficjalnie „wielki wpływ na przebieg wyprawy" — to zdaje się było większe i bardziej znamienite dzieło niźli dowodząc pułkiem zdobyć w ogniu bitwy kilka pozycji nieprzyjacielskich! Kościuszko zwyciężał w Stanach Zjednoczonych przede wszystkim groźną, nieprzystępną przyrodę, ujarzmiał nurt rzek, wytyczał brony i szlaki wśród puszcz i trzęsawisk, zdatne dla transportu broni, żywności i ludzi, wyznaczał na skałach reduty i wznosił forty. Znajdował się również nieraz i w bitewnym ogniu, chociażby wówczas gdy objeżdżał z gen. Groen forteczkę Ninety Six, czy gdy zajmował 14 grudnia 1782 r. Charleston. Był więc doświadczonym inżynierem, wytrawnym dowódcą, śmiałym do szaleństwa żołnierzem, ale najważniejsze — był jeszcze niezwykłym, wspaniałego charakteru człowiekiem. Zwierzchnik jego, generał amerykański Green nie pisał przecież czczych pochwał, zaliczając go do „najużyteczniejszych i najmilszych towarzyszów broni, niczem niezrównanej gorliwości, czujności, staranności...", mówiąc, że wyróżniał się „bezprzykładną skromnością i zupełną nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań, albo pretensji dla siebie samego, nigdy nie pominął sposobności odznaczenie i zalecenia cudzych zasług". Chwalebne świadectwo, nie przesadzone w niczym. Kościuszko dopiero opuszczając szeregi amerykańskie, po zakończeniu szczęśliwej wojny, został zaszczycony jeneralskimi szlifami, które inni nosili już dawniej, chociaż nie mieli za sobą ani Saratogi, ani West-Point, ani wielu lat zmagania się i zwyciężania żywiołów ziemi i wody, puszcz i stepów, nie mieli za sobą niewygodnych dalekich podróży, wśród których nie rzadko dokuczał głód, mróz, lub skwar słoneczny, ale zato... mieli bardzo giętkie karki.

Kościuszko był skromny, ale i dumny, szlachetną dumą człowieka mającego poczucie istotnej swej wartości i dlatego przybywszy po raz wtóry do Ameryki w r. 1797 podziękował Washingtonowi za zaproszenie i gościnę w jego rezydencji Mount-Vernon, a u swego dawnego bezpośredniego zwierzchnika gen. Gates, mieszkającego koło New York, bawił kontentując się dwupokojowym mieszkaniem wynajętym w Filadelfii, w mieście, które stało się przed dwudziestu laty progiem jego sławy na drugiej półkuli.

Witała też Filadelfia rannego, schorowanego, bezdomnego, ubogiego tułacza Kościuszkę, byłego więźnia carowej Katarzyny z godnym zazdrości zwycięscy entuzjazmem i gdy na pokład „Adriany" wstąpili obywatele amerykańscy, wzruszony do głębi powitaniem Kościuszko mógł tylko zdobyć się na krótkie, ale jak istotne w treści oświadczenie: „Uważam Amerykę, jako drugą moją ojczyznę i czuję się nader szczęśliwym, gdy do niej powracam." Mógł więc spokojnie w tej drugiej ojczyźnie życia dokonać; generalska pensja z zaległymi procentami, kawał ziemi przyznanej na własność, jako żołnierzowi z wojny o niepodległość Stanów nie stanowiły przecie dostatecznej ponęty, gdy doszły go echa z własnej nieszczęśliwej Ojczyzny, gdy świtały nowe możliwości walki o jej wolność.

W Washingtonie, na zadrzewionym Lafayette Square, w rogu Vermont Avenue wznosi się pomnik Kościuszki dłuta Antoniego Popiela. Pomnik ten sprzed dziesiątków lat jest osobliwym symbolem naszych dni. Na szczycie granitowego cokołu stoi Kościuszko w trójgraniastym kepi, w stroju pułkownika armii amerykańskiej z czasów powstańczych. Troska i tęsknota pobruździły mu stanowczą, zdecydowaną twarz. U swych stóp ma półkule Starego i Nowego Świata, Europy i Ameryki. Po prawicy, w dole cokołu amerykański oficer rozcina pałaszem więzy amerykańskiemu koloniście, po lewicy kosynier spod Racławic podtrzymuje słaniającego się, powalonego śmiertelnym pchnięciem oficera polskiego, podającego martwiejącą dłonią swą szablę chłopskim rękom. Konający oficer — to przedstawiciel Polski przeszłości, Polski szlacheckiej, a kosynier, chłop — to reprezentant Polski nowej, którą przecież chciał wywalczyć powstaniem Kościuszko. Na pomniku prócz imienia bohatera napis: Saratoga — Racławice i fragment wierszu Campbella — And freedom shriked as Kościuszko fell.

Zestawienie Rocławic z Saratogą, wydawałoby się na pierwszy rzut oka może zbyt śmiałe. W bitwie pod Saratogą Kościuszko nie był przecie ani dowódcą, ani nawet zapalczywym na czele własnego pułku walczącym żołnierzem, a przecież głównodowodzący zwycięską armią powstańczą generał Horacy Gates donosząc Kongresowi o sukcesie pisał „Pułkownik Kościuszko wybrał i oszańcował pozycję" —i to istotnie zadecydowało o zwycięstwie, a zwycięstwo pod Saratogą stanowi w historii wojny o niepodległość Zjednoczonych Osad punkt zwrotny, równie w skutki brzemienny, jak proklamowana dnia 4 lipca 1776 r. przez Kongres w Filadelfii niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Wojciech Bąk

* * *

Nie kopano im grobu, ale wielki rów
Bo jakiż grób te ciała zechciałby pomieścić.
Te ramiona bez dłoni, kadłuby bez głów,
Krwawiące żniwo ludzkie — i owoc boleści!
Nie kopano im grobu, ale wielki grób
I w grobie można w wieczność płynąć, czule drzemiąc..
Nie było modłów siewnych, pożegnalnych słów —
Tylko rozmowa łopat z rozkopaną ziemią.

Nie kopano im grobu, ale wielki rów
Tym ramionom bez dłoni, kadłubom bez głów!

* * *

Dotykaj słów ostrożnie! Jeszcze nie zarosły —
A to są rany! Mogą pod palcami krwawić.
To krwawią lata smutku i rozpacze wiosny
I jesienie zawodów i zimy bezprawi!

Hańbo, znam twoje imię! Klęsko, znam łzy twoje!
Gorzkie noce wygnania, chlebie zły niewoli!
Więc dotykaj ostrożnie drżące słowa moje,
Bo blizny nie zarosły, każdy dotyk boli.

Bo to są rany! Jakbyś chciała ziemi dotknąć,
A to jest biedne ciało, zhańbione i zbite —
I słowa — wylatujące muzyką tak słodką —
Są zachwytem — lecz jakże krwawiącym zachwytem.

* * *

Świt dziś nic nie zrozumiał! Gdy powinien płakać,
On wybucha hymnami zachwytu i blasku!
Ciągle mu blasku mało! Złoto niebem płynie.
I horyzont nie niebem zda się być, lecz łaską.
A przecież w tejże chwili, z tegoż łaski nieba
Opadają stosami bomby w trwogę miasta —
I świt tryumfując złotem łaski śpiewa,
I świt grobowy grzebie — i zwaliskiem wzrasta.

Jan Reychman

Czechosłowackie pretensje graniczne

Aczkolwiek postulatem kół niepodległościowych Czechosłowacji w ciągu minionej wojny był powrót do stanu przedmonachijskiego, to jest do granic Czechosłowacji z r. 1937, to jednak w miarę rozwoju wypadków aspiracje te wzrastały; gdy też skutkiem przyłączenia Ukrainy Zakarpackiej do ZSRR i tak granice Czechosłowacji przedmonachijskiej okazały się nie do utrzymania, zagadnienie nowych granic Czechosłowacji stało się problemem dnia i zajmuje sporo miejsca w prasie i publicystyce czeskiej.

Zagadnienie pretensyj granicznych Czechosłowacji ma swoje oblicze maksymalne i oblicze minimalne. Oblicze maksymalne, reprezentowane na przykład przez „Sdruženi za spravedlive hranice CZSR" organizowane przez Ot. Prusa pragnie jakiejś olbrzymiej nowej Czechosłowacji z granicami na Cisie, Dunaju, Rabie, Łabie, Sprewie, Elsterze, Odrze, Wiśle. Postulaty minimalne ograniczają się do szeregu mniejszych lub większych poprawek granicznych, umotywowanych względami strategicznymi, etnograficznymi, gospodarczymi, komunikacyjnymi.

Śród pretensyj granicznych Czechosłowacji wyodrębnić należy: 1. Śląsk, 2. Korektury na zachodniej granicy, 3. Pretensje do t. zw. Pola Morawskiego i obszarów na przedpolu Wiednia, 4. Zagadnienie „korytarza" do Jugosławii, 5. Poprawki od strony Węgier, na Słowacji, 6. Sprawa spisko-orawska na pograniczu z Polską.

Jeśli chodzi o Śląsk, to dwa tu są interesujące opinię polską zagadnienia: sprawa kłodzka i sprawa granicy na Śląsku Górnym (Głubczyckie i Raciborskie). Ponieważ sprawy granicy na Śląsku są bardziej znane polskiej opinii, ograniczymy się tylko do krótszego zreferowania czeskiego punktu widzenia. Otóż Czechosłowacja żąda przyłączenia Kłodzkiego do Czechosłowacji, motywując to z jednej strony względami etnograficznymi i historycznymi (przynależność kłodzkiego do Moraw umotywowana rzekomą czeskością ludności na pograniczu, i faktem przynależności tego terenu do Moraw do r. 1742, która to przynależność zostawiła swe ślady w postaci pozostałej organizacji kościelnej) z drugiej zaś strony względami geograficznymi i strategicznymi. „Kłodzki cypel" pisze dr. J. Korczak w artykule „O hranice naszeho statu" w tygodniku „Svobodni Zitrzek" nr. 2 z 1945 — „przedłuża naszą granicę na 145 km a przy tym zagraża na najczulszym miejscu naszej sieci komunikacyjnej: granica w Kłodzkim jest zaledwie o 28 km odległa od Czeskiej Trebove, najważniejszego naszego punktu węzłowego". Koncepcja czeska uważa Kłodzkie za geograficznie część ziemi morawskiej, część obszaru sudeckiego. „Przynależność Kłodzkiego do ram Sudetów, a przez to i do masywu czeskiego nie jest żadnym problemem, jest to nagi fakt — pisze prof. V. Dedina w ciekawym artykule „Przirozene hranice" w tymże tygodniku „Svobodni Zitrzek" z 20 grudnia 1945, dodając do tego jeszcze względy strategiczne: — „należy też zwrócić uwagę na to, że Bramą Kłodzką to jest wylot Nisy Kłodzkiej na Śląsk (koło miasteczka Warty — jak znacząca i historyczna nazwa) można bronić tylko z czeskiej strony, oczywiście nie przeciw Polakom, ale przeciw ewentualnemu napadowi Niemców, którym udałoby się przedrzeć na polski Śląsk Dolny..."

Druga kwestia graniczna na Śląsku, która absorbuje opinię czeską w równym stopniu jak sprawa kłodzka, to zagadnienie głubczyckiego i raciborskiego. „W średniowieczu północną granicą Moraw była rzeka Pszczyna" — pisze w cytowanym artykule J. Korczak — „a najbardziej na Północ wysuniętym miastem był Prądnik (Neustadt am Neisse). Także i ten obszar zachował pierwotną przynależność kościelną do Moraw i język czeski." Potrzebę przesunięcia granicy nad Pszczyną motywuje się również względami strategicznymi: „Powrót do starej granicy na Pszczynie koniecznym jest nie tylko ze względów gospodarczych (łączność Opawy i Karniowa z ich zapleczem zaopatrzeniowym właśnie na Górnym Śląsku) ale i wojskowych: Ostrawę należy zabezpieczyć nie tylko jako najważniejsze centrum przemysłowe Czechosłowacji, ale i jako przedpole t. zw. Bramy Morawskiej, która nie może być broniona z Polski, ale tylko z Moraw" — pisze dalej Korczak, domagając się przesunięcia granicy „chociaż ku Odrze i Pszczynie". Na mocy art. 83 preliminariów wersalskich z 7 maja 1919 przyznano Czechosłowacji całe Głubczyckie, ale ostatecznie — przy znanych nam względach, z których korzystały wtedy Niemcy — przyznano jej tylko Hulczyńskie.

Poza tymi żądaniami, które popierane są przez koła oficjalne i półurzędową propagandę, są jeszcze aspiracje dużo dalej idące; artykuł „Spravedlnost Czeskoslovensku" w piśmie „Kruh" (nr. 2 z 1. II. 1946) mówi o granicy na Odrze z Wrocławiem, która jest „geograficznie idealna"; z Górnej Odry granica przebiegać ma ku Wiśle.

Z kolei wysuwa się cały szereg problemów odnośnie do zagadnień granicy zachodniej Czechosłowacji. Oprócz dorzecza Nisy Kłodzkiej, wedle czeskich publicystów (np. Prof. Dedina) — „do ram masywu czeskiego należy jeszcze obszar Nisy łużyckiej na północy. Na dorzecze to mamy przyrodzone a też i historyczne prawo, zwłaszcza o ile ta rzeka płynie w obszarze Gór Łużyckich i jej podgórza." Podkreśla się, że Łużyce należały do Czech do 1635, a i potem prawa korony czeskiej do tej ziemi były uznawane. Zagadnienie stosunków Czechów do sprawy łużyckiej poruszyliśmy osobno, i dlatego ograniczamy się tu tylko do pobieżnych tych paru uwag.

Poza sprawą łużycką poruszane są sprawy zmian granicznych w terenie górskim, ograniczającym Czechosłowację od Zachodu. Manifestacyjne zgromadzenie 2 lutego 1946 w Teplicach miało śród uchwał żądanie „zbocza Gór Kruszcowych opadających na stronę saską ze względów wojskowo-strategicznych, dalej całą Szumawę z przyległą okolicą opadającą ku Bawarii tak ze względów strategicznych jak i jako nagrodę za zniszczone lasy chodzkie" (cyt. za „Sever" w Usti nad Orlicą nr. 4 z 1946). Prof. Dedina w cytowanym już przez nas parokrotnie artykule o granicach naturalnych mówi, że „w Górach Kruszcowych, w Lesie Czeskim i na Szumawie trzeba będzie w terenie przygranicznym przeprowadzić niektóre lokalne korektury zwłaszcza przy tak zwanej Wszerubskiej Bramie oraz w okolicy jezior szumawskich". „Svobodne Slovo" z 9 października 1945 doniosło o manifestacji odbytej w pogranicznej miejscowości Żelezna Ruda, na której domagano się zmiany granic w obrębie Gór Szumawskich a przede wszystkim przyłączenia całego masywu Jawora do Czechosłowacji.

Jak i w innych terenach tak i tu obok tych postulatów wyrażających dążność do pewnych poprawek granicznych odzywają się głosy, żądające granic dużo szerszych. Związek „O sprawiedliwe granice dla Czechosłowacji" żąda od Odry granicy kanałem Odra — Szprewa, Szprewą, linią jezior, Łabą do ujścia Czarnej Elstery, następnie przez Smrcznik do ujścia Wilicy i do Dunaju przy Rotyzbonie i dalej Dunajem. Granica więc pomyślana bardzo szeroko, daleko wybiegająca poza dotychczasową.

Na południu wyłania się tu interesująca sprawa czeskich pretensyj do pewnych terenów austriackich na przedpolu Wiednia. Pretensje te formułuje J. Pravda w artykule „Piet pohranicznich otazek dozrava" (w tygodniku „Masarykuv lid" nr. 8, 1946) „Jako czwarta kwestia" — pisze J. Pravda — „specjalnie ostrego znaczenia nabywa sprawa czeskiego przedpola w Austrii (t. zw. Vitorazsko, obszary nad rzeką Dyją lub Zayą, przedpole breclawskie z czeską ludnością Czahnowskiego, Czistejowskiego, Mistelbachu aż po Morawskie Pole..." Korczak we wspomnianym już wyżej kilkakrotnie artykule wskazuje, że tereny te należały ongiś do Moraw i jeszcze pierwszy monarcha z rodu Habsburgów obiecał Wacławowi I zwrócenie tych ziem, ale „obietnicy nie dotrzymał". Dedina w artykule o granicach naturalnych pisze, że „granicę obszaru nad Dyją (Zayą) a przez to i południową granicę ziemi morawskiej należy poprowadzić od dorzecza górnej Lużnicy na Vitorazsko do punktu Kazatelni (718 m), stąd do Kamiennego Stołu (585 m) na Bukową Górę (416 m) i Lyskie pogórze, a stąd dalej na południe i południowy wschód po rozlewiskach dolnej Morawy, tak że pamiątkowe Pole Morawskie wróciłoby do Moraw."

Z kolei ze sprawą korektur na granicy z Austrią łączy się sprawa ewentualnego „korytarza" do Jugosławii. Sprawa ta ma swoją starą przeszłość. Połączenie Czechosłowacji z Jugosławią dla stworzenia tym sposobem jednolitej bariery słowiańskiej przeciw naporowi niemieckiemu planował już w czasie poprzedniej wojny obecny prezydent Benesz w swojej propagandowej broszurze „Detruissez l'Autriche-Hongrie". Miałby to być wąski pas wzdłuż granicy austriacko-węgierskiej, którego granice wschodnie były wzdłuż rzeki Raby, granica od Austrii byłaby na krótkim odcinku od Dunaju do gór Litawskich sztuczna, ale już dalej na południe biegłaby jako granica naturalna grzbietem gór Litawskich, biegiem rzek i grzbietów alpejskich. Wedle artykułu J. Pravdy „Vszeslovanska vzajemnost a solidarita politicka" („Masarykuv Lid" nr. 6 z 1946) „na terenie korytarza wedle godnych zaufania statystyk austriackich i węgierskich żyje ok. 124 000 Jugosłowian obok paru dziesiątek tysięcy Słowaków, w rzeczywistości zaś ok. pół miliona Słowian". Chociaż nie ma tam żadnego zwartego słowiańskiego obszaru, to jednak osady słowackie, słoweńskie, chorwackie ciągną się tym pasem od granicy czeskiej aż po jugosłowiańską, o czym dobrze zresztą wiedzą żołnierze polscy, którzy w czasie obecnej wojny byli internowani w obozach na Węgrzech w Szarvar, Bregenc-major, Kiscenk, Lenti, Moson, Nagy-Kanizsa. Z tego terenu pochodził też Słowak czy Słowieniec Maciej Kamiński, twórca pierwszej opery polskiej w XVIII w. rodem z Oedenburga.

Jeśli chodzi o granicę od strony Słowacji, to tutaj wysuwana jest sprawa przedłużenia granicy ku wschodowi wzdłuż Dunaju aż poza Szob. Tym sposobem całe Góry Nowohradzkie, dostałyby się do Czechosłowacji. Mowa też jest o Dunaju nie po Szob, ale aż po Vac (Waców). Od Dunaju granica biegłaby więc górami nowohradzkimi, Matrą, górami Bukowymi (Bükk), Hegyalią i Górami Slanskimi, przy czym znów na odcinku silickim, między Tornalą a Torną dojść by musiało do znacznej korektury na korzyść Słowacji. „A odtąd cały ten wulkaniczny wieniec" — pisze w swym artykule Dedina — „Novohradu, Matry, gór Bukowych, Hegyali, gór slańskich to przecież dana przez przyrodę, naturalna granica Słowacji". I znów obok względów narodowościowych (okolice te silnie są zaludnione przez Słowaków) wysuwa się momenty obronności oraz względy komunikacyjne: wszak obydwie magistrale, łączące wschodnią Słowację z zachodem biegną terenem górskim bardzo niewygodnym; jedyne możliwe połączenie byłoby dolinami rzek Bodawy, Slany i Ipoli, które musiały być przyłączone do Słowacji.

Wreszcie jedna jeszcze drobna sprawa graniczna — poza znanym zupełnie u nas i zupełnie odrębnym zagadnieniem Zaolzia, które jest wedle Czechów „poza dyskusją" — wysuwana jest w Czechosłowacji właśnie odnośnie do słowiańskich granic: jest to kwestia spisko-orawska. Jak wiadomo Niemcy w 1940 r. oddali Słowacji wsi spiskie i orawskie tak te, które Polsce przypadły w 1920 respective 1924, jak i nabytki z 1938 r. Obecnie przywrócona jest granica z przed 1938 r., ale ze strony słowackiej nie brak głosów domagających się zwrotu i tych wsi spisko-orawskich, które były w Polsce przed 1938. Bratysławski „Czas" z 15 grudnia 1946 pisał, że Słowaków „interesuje zagadnienie naprawienia granic w północnej Orawie i na Spiszu", że „naruszenie historycznych granic Słowacji w r. 1920 było wynikiem kompromisu, który Słowacy ponieśli na rzecz ziem czeskich", że fakt, „że Czechosłowacja zwróciła Polsce ziemie, które ona sobie „przywłaszczyła" w r. 1920 nie może znaczyć jakoby „zrzekała się ona historycznych granic czechosłowacko-polskich". Uchwała „Związku Młodzieży Słowackiej" w Trstenej na Orawie ogłoszona w tymże dzienniku „Czas" z 19 grudnia 1945 żąda respektowania na Górnej Orawie woli ludu i położenia kresu temu, aby „17 tysięcy rdzennych Słowaków miało cierpieć pod przemocą Polski". Wreszcie artykuł V. Novanskiego „Na margo rokowani s Polskom" z „Czasu" z 22 stycznia 1946 żąda, aby miało się wzgląd w sprawie spisko-orawskiej na wolę ludu tamtejszego i aby „ewentualnym plebiscytem zostało rozstrzygnięte, gdzie ten lud chce żyć, w republice czechosłowackiej czy w Polsce". Tak samo i artykuł „Spravedlnost Czeskoslovensku" („Kruh" nr. 2) podaje, że cypel podhalański nie będzie stanowić niebezpieczeństwa dla Czechosłowacji, gdyż jest za wąski do tego, aby stanowił ewentualną bazę operacyjną „z założeniem, że nam będą zwrócone terytoria na Spiszu i Orawie odstąpione Polakom w r. 1920".

Na wschodzie granica byłaby utrzymana na rzece Ung i Laborec aż po Czop, następnie Cisą a następnie raczej porzucając granicę naturalną ku zachodowi, aby przeciąwszy znów Cisę dojść do Slany i gór na pograniczu słowacko-węgierskim.

„Stary Śląsk był przed dwustu laty zrabowany nam przez Niemców. Górne i Dolne Łużyce dotąd do nas prawnie należą. Żądamy sprawiedliwego poprawienia i strategicznego umocnienia granic na Szumawie, Vitorazsku, na południowych Morawach i Słowacji. Żądamy korytarza do bratniej Jugosławii". To są w sumie hasła „Związku walki o sprawiedliwe granice dla Czechosłowacji". Aczkolwiek czynniki urzędowe tak daleko w swych pretensjach nie idą, to jednak nie tamują one tej propagandy, która być może obliczona jest na wyrost, tym niemniej obok dziesiątek innych zagadnień granicznych wysuwa się dziś jako zagadnienie międzynarodowe w Europie Środkowej.

Jan Baranowicz

MIEDZA

I.

Wpięte w złotą obręcz horyzontu,
niewiązane łysym płotem ścieżek —
in principio erat... na początku
było pole — gdy Bóg — „stań się" —
przerzekł.
Szumiał człowiek samotnym jesionem
co przełaja pieśniom brał na szlaki — —
Pękło pole na klepki stajonek.
Zwiądł człek-jesion. Wzeszli ludzie-krzaki.

Domorośli swojscy geometrzy
szwami miedzy skrępowali składy —
Tak upadła wolność polnych rzeczy,
by się skrudłem z zagonami wadzić.

II.

Ty jesteś jak zielony poemat,
który napisze wiejski Koźmian,
strojna w jeleni nocny przemarsz
jako niwa w płodozmian.

Tyś niepisanym gminy prawem,
Ściegą, co pachnie jaźwców rują.
Tyś czyścem, gdzie dziady chropawe
grzech chciwy odpokutowują.

W twe perze wżarł się pniak grubaśny
maćkowej gruszy o stu dziupłach —
gdzie wiatr — bywalec plótł mi baśnie,
ledwom ze spódnic się wysupłał.

III.

Krawężnik miedzy, choć nie wolne,
pług zębem tyrpie wygłodzony —
Choć szersze o reformę rolną,
wciąż pole chude ma zagony.

Opalam się na kolor śliwy.
Z miedzy Krasula owies smyka —
Myślę: — zabronię, sprawiedliwy,
to na wieczerzę skąpiej mleka.

Myślę: — bezmiedzną niebo płachtą
— a — jako w niebie — tak na ziemi —
Niechże zaorze miedzę traktor
i ziemia — niebem się przestrzeni. —

Wojciech Żukrowski

MIŁOŚĆ

Jest już prawie ciemno. Teresa chciałaby się pozbyć przyjaciółki, czuje już ciężar jej obecności. Czyż można ją zresztą nazwać przyjaciółką? Widzi jej palce rozjaśnione żarem papierosa i twarz zmętniałą za obłokiem dymu.

Teresa odwraca się do drzwi balkonowych. Daleko za parkiem mży burym, nieczystym odblaskiem centrum Paryża i raz po raz błyskają zielone ognie elektrycznych wyładowań. Oczy nie mogą dosięgnąć nieba. Niskie obłoki w tym świetle ciążą jak wyprute wnętrzności w pobliskich jatkach, dymy nieustannie pełzają ukosem ponad wieże, a ponad domami wisi miedziana sieć drutów, przewodników i anten.

Z dołu wciska się szparami ciepły zapach kipiącego asfaltu. Robotnicy ochlapani płomieniem mieszają w ogromnym kotle. Zapadająca ciemność, niezdrowa i zetlała, wydobywa z nich kształty potępieńców. Klaksony aut, holowniki na Sekwanie jęczą. Warkot sąsiedniej drukarni przebiega drżeniem po murze. Miasto gada. Jest to jakby żałosny bełkot kontuzjowanego żołnierza, który próbuje odnaleźć w tych nieporadnych dźwiękach — powszednie słowa pozdrowienia.

— Cóż ty możesz wiedzieć o miłości, mówi spokojnie, potem nie chcąc dopuścić do dalszych zwierzeń, zapala światło. Za oknem nagle robi się noc. Ewa ma oczy przysłonięte powiekami. Milczy. Jest piękna, to musi jej Teresa przyznać. Jest piękna jak amfory greckie, których kształt podziwiamy, dopóki twarz nasza nie nachyli się nad otworem, gdzie z czarnego wnętrza paruje woń uwiędłych kwiatów, wilgoci i śmierci.

— Może masz słuszność, mnie nikt nie kochał tak, jak ciebie Laurent, mówi nagle trochę drwiąco. Potem łagodzi wszystko uśmiechem, który odsłania równe zęby i dziąsła bledsze od warg, jakby powleczone nalotem.

— Ach, Laurent, Laurent...

Ewa też wstaje jakby to imię było hasłem pożegnania. Wychodzą obie. Tłusty, brunatny dym wrzącego asfaltu dławi w ulicy. Zaraz, prawie pod bramą żegnają się. Teresa skręca w dzielnicę willową.

Płyty świecą od niedawnego deszczu. Nawet tutaj pachnie zroszona ziemia i cierpkie drzewo. U dna nocy czuje się niepokój przebudzenia.

Nagle niebo na południu rozjaśnia się jak rozdmuchane popielisko. W srebrnawym brzasku widzi pozwijane obłoki podobne do wypchanych tobołków. Idzie wiatr. Ciepły wiosenny wiatr. Teresa czuje muśnięcie jego przelotu. Przystaje, oto lekkie dotknięcia na powiekach, szyi, jak opłynięcie, radosne rozpoznanie znajomego ciała. Oto z powietrza stężałego wyłaniają się dłonie, opierają o piersi, dłonie świadome swego prawa i jej uległości. Teresa zdziera rękawiczki, rozpina płaszcz. Pije ciepły oddech.

To znowu idzie wiosna. Czy jeszcze raz ma prosić o miłość, gdy zaczną ukazywać się liście, gdy klomby fioletem dymią w parkach, a ławki zaroją się od całujących par... Czy ma dotrzymywać kroku tej nowej wiośnie? A może lepiej modlić się o łaskę niewiedzy i przemijania, o łaskę odrętwienia i rychłego snu?

Czyż jest ktoś na ziemi i niebie, kto pragnie jej smutku, domaga się by cierpiała?

Ciepłe krople spływają jej po twarzy. Ale to nie deszcz, to łzy. Z wiatrem ulatują grube ziarna piasku, uderzają o wyciągnięte dłonie. Ta wiosna nie niesie ukojenia, suszy wargi i wzmaga pragnienie.

Odwraca się. Wiatr popycha ją niedbale, ciskając na blaszane dachy garściami piasku.

Ten wiatr przebiega nad całą Francją, pustynny i gorący, tam na południu nazywają go sirocco, gaskończycy — mistral, tu w Paryżu, mówi się tylko bezosobowo — ależ dmie.

Ojciec Jan słyszy go jak przelatuje tętniąc ponad dachem kościółka. Nadsłuchuje chwilę. Pęknięte szyby wibrując grają półtonem. Daleko nieustanny szum.

Ojciec Jan wchodzi teraz do zakrystii, otwiera wieka barokowych skrzyń służących za ławy, szuka szmaty. Nie należy to do niego, ale trzeba skorzystać z ostatniego światła jakie pada od otwartych drzwi. Bielone ściany odpychają piwnicznym ziąbem.

Klęka, podwija biały habit wysoko, jak to zwykły kobiety zmywające podłogi. Kaptur opada mu na oczy. Ściera mnóstwo nabłoconych śladów, które świecą wilgocią w półmroku. Odciśnięte podkówki, nanieśli zbutwiałych liści i mierzwy. Nawet poznaje tropy psie podobne do czarnej koniczyny. Zmywa szmatą, spłukując ją w cebrzyku, który wlecze za sobą.

Jeszcze cztery dni dzwony milczą. Przed chwilą skończyła się droga krzyżowa. — Upadamy przed Tobą, dobry Jezu, żeś przez Krew i Mękę Swoją świat odkupić raczył — słyszy głos starego Ruban, który zanim wyjdzie, zapala koło chrzcielnicy fajkę, bojąc się by mu na wietrze nie zgasła.

Ojciec Jan czuwał w konfesjonale. Kudłate łby oparte o kratę, piękne w swym bezwstydzie głowy, których kształt ludzki zaledwie zakrywa profile drapieżnych zwierząt i ptactwa. Ludzie okrutni w swej prostocie, nieskażeni miłosierdziem, a jakże bliscy zbawienia.

Wykręca teraz ścierkę, ręce ma w zmierzchu prawie czarne z zimna.

Klekocząc sandałami, schodzi z chóru brat Damian, kościelny. Gdy klęka obok, klucze na długim rzemieniu uderzając o posadzkę brzęczą.

— Ojcze, to nie dla was robota, mówi, wydzierając mu szmatę.

Potem pochyla się pokornie, całując go w zsiniałą rękę. Ściera dalej sam, prawie wodząc czarną brodą po wilgotnych kamieniach. Jest dwa razy starszy od Jana. Brał udział jeszcze w tamtej wojnie. Ale zamiast przewijać bandaże i trzymać miskę, wolał ciskać granatami w znienawidzonych boszów, nieraz zapomniawszy o rannych chwytał za bagnet i szedł do kontrataku.. Na tę wojnę, nie mogąc się doczekać wezwania, też chciał uciekać. Front zbliżał się z zastraszającą szybkością, Niemcy przekroczyli Loarę. Właściwie, mówi z pogardą, nie było już dla kogo Francji bronić...

Ojciec Jan podchodzi do drzwi. Noc jest ciepła i ciemniejsza niż noce zimowe. — Wiatr wydyma mu rękawy, suszy ręce, ale nie ziębi. Chmury suną nisko. Za nim, nad wieżami klasztoru, teraz niewidoczne, wiszą kamienną barykadą Pireneje. Daleko przed nim mrugają światła wiosek, to tak, jakby odwrócone, wątłe niebo u stóp.

— Wiem co uczyniłem, ale tylko Ty możesz okazać mi łaskę, przyjmując moją ofiarę, mówi we wzburzone niebo. Kiedyż dasz zbawienie moim jałowym czynom? Jakże mogę poznać czym drzewo dobre, skoro nie znam owocu mego? Boże, Boże, któryś pochłonął miłość moją, wydaj mi ją, wydaj wieczności...

Wiatr obija się o kolana, wciska w habit jak natrętny pies. Z za muru słyszy urywany klekot kołatki. Pora wieczerzy.

Brat Damian, nim zamknie drzwi, kładzie błogosławiącym gestem dłonie na wietrze, suszącym drogi, budzącym senne soki — szepcze — wolność... Potem przelękniony tym westchnieniem jak bluźnierstwem, z hukiem opuszcza zasuwy i ukutymi wrotami odgradza się od burzliwej nocy wiosennej.

Ojciec Jan przechodzi naukos podwórza, mija stajnie, otwiera drzwi kuchenne i długim korytarzem brnie do jadalni. Lektor siada na podwyższeniu. Braciszek służebny podkręca lampę, stawia mu tuż nad głową. Są już wszyscy. Było ich dwunastu, teraz jest jedynastu. Było czterech księży, od wczoraj zostało ich trzech. Twarda reguła nie ma wielu zwolenników, klasztor wymiera.

Tkwią tak chwilę ponad stołem prostym, nienakrytym, potem spada rytmiczna modlitwa. W tym łańcuchu wygolonych czaszek, podobnych do cedrowych gałek różańca, świeci szczerba. Siadają pozostawiając wolne miejsce i talerze dla zmarłego.

Lektor uderza palcem w pulpit. — Równocześnie otwierają się drzwi i dwaj bracia wnoszą wazy z dymiącą zupą.

Spokojny głos zaczyna: „Uczniowie Pana Jezusa pytali Go: „czemu nie mogliśmy wyrzucić tego ducha?“ I rzekł im: „Ten rodzaj żadnym sposobem wyjść nie może, jeno przez modlitwę i post“, (św. Marek IX. 14. 28.).

„— Kimże był ów oporny duch, który opętanego czynił niemym i głuchym, ciskał nim w ogień i wodę, toczył mu pianę z ust, kazał mu bronić się przed ratunkiem i wreszcie odchodząc, porzucił go wyczerpanego na progu śmierci?

A jest to duch nieczysty.

Jest to duch, który zabiwszy w nas miłość prawdziwą, podszywa się pod nią, rządząc zmysłami naszymi — wcielenie potęgi tyrańskiej. Oto grzech który nas trzyma w niewoli i do ziemi przygina. Opętany, nazewnątrz ruchliwy jak płomień, zamyka się i krzepnie w egoiźmie i obojętności. Na bliźnich patrzy pożądliwie, szukając w nich zaspokojenia swej namiętności. Ciało płonie, a dusza zamiera.“

Ojciec Jan słucha z pochyloną głową. Głos dudni o sklepienie, nawraca, osaczając go. Przed chwilą rzucał pytania Bogu, czyż odpowiedzią będzie to oskarżenie? Lektor skanduje: „A duch uczyni go niemym, bo w grzechu tam niema nic co mogłoby się ukazać w świetle, oto grzech sekretny, skryty, który zamyka mu usta do wyznań.

A duch czyni go głuchym — na głos łaski, na wołanie pełne miłosierdzia.

A duch ciska go w odmęt żądz, pali płomieniem zmysłowym. Odmową doprowadza do rozpaczy, to przyzwoleniem zamienia ciało w popiół.

On włada nieszczęsnym odwołując się do miłości jego. On panuje nad nim, a wielbi go krew, ciało i wola pokonanego.

Któż da oswobodzenie?

Któż go uzdrowi?“

Zapada męcząca cisza, słychać tylko szuranie wichury po dachu.

„Czyż wystarczy zarozumiałemu własna siła? Czemuż z dumą odrzuca pomoc Mistrza, czemu nie modli się, nie korzysta z oręża sakramentów?“

Teraz Jan musi napełnić talerz. Ta prosta czynność niesie odprężenie. Patrzy serdecznie na tych brodatych mnichów w kłębach złotawego oparu, na te twarze od ascezy obrzękłe, niezdrowo nalane, jakby wyniesione wiosenną powodzią zwłoki topielców. Inne przez to samo zniszczone, przetarte, jakby wewnętrzna twarda podbudowa nagiej czaszki próbowała się przebić przez zanikające ciało. Tylko włosy zachowują swą bujność, niepokojącą żywotność, która trwa i po zgonie.

Obok jest miejsce puste. Jeszcze wczoraj rano siedział tu ojciec Hieronim. I oto już go niema. Ale przesuwana waza, zatrzymuje się przed nim jakby nabierał.

Śmierć dosięgła go w jednej z tych ożywczych drzemek, w których organizm gromadzi resztki zapasów na chwilę krótką gorączkowej działalności. Zasnął i już nie przebudził się. Zasnął i zapomniał powrócić.

Śmierć... Ojciec Jan wita ją teraz przyjaźnie, ale gdy miał siedem lat... Pamięta ten wstrząs, kiedy uświadomił sobie, że on, to jest — on, jedyny, niepowtarzalny w całym świecie. Kiedy zrozumiał, że śmierć i wyrok wiszą nad nim. O te przerażające szczere spowiedzi, kiedy odchodził od konfesjonału pobladły i osłabiony jak po torsjach. Oh, te tortury skrupułów, wieczna niepewność, że nie jest godny przyjąć Jezusa. Powyłamywane palce gorące i wilgotne. Wieczory, kiedy patrzył w niebo jak na olbrzymią dekorację, przed którą się odgrywa próżny trud jego walki. Przecież z góry był skazany, znał swą bezsilność... Nie śmierci bał się, ale życia, wiecznego życia, które tkwiło za nią. Jakim wstrząsem była mu wiadomość o samobójstwie kolegi. — Nieszczęsny, myślał, gdybyś wiedział co ja wiem... Przecież uciekając stąd, sam się wydałeś oprawcom. Jeżeli tu jest męka i trwoga, cóż dopiero tam gdzie niema nadziei i kresu...

Jakże podziwiał kolegów, jakże im zazdrościł. Żyli tak wesoło, kopali piłkę, grali w tenis, później całowali się z dziewczętami. Jeżeli któremuś zwierzył się ze swego lęku, przytakiwali mu, marszcząc czoła w udanym skupieniu, ale zaraz pochłaniały ich zabawy, tak jakby miały trwać wiecznie. Chwilami wątpił, czy oni mają dusze, bo swoją czuł zbyt wyraźnie, bolała pod dotknięciem. Oczywiście było to nerwowe i związane z okresem dojrzewania, ale to zamało by wytłumaczyć piekło w którym żył przez kilka lat. Nieraz w twarzach mijanych ludzi, dostrzegał już wezwanie, plamy wątrobiane, podpuchnięte oczy, skleroza czy rak — a oni niedbali, ślepi biegli ku jednodniowej radości, witając ostrzeżenia i kataklizm corocznej jesieni — jak coś zwykłego.

Powoli ta przeraźliwa ostrość widzenia zacierała się. Świat go pozyskiwał dla siebie. Jeszcze raz mając lat osiemnaście, przeżył ten lęk przy czytaniu Poego. Drżał przechodząc obok cmentarzy, gdzie zgadywał groby pełne własnego życia i niepokoju. Wszystkie dni wtedy, wydawały mu się opadaniem w otchłań, pełną niewidzialnego ognia. Ale trwało to krótko. Potem nawet chciał to uczucie wzbudzić w sobie, już nie powracało.

Był nawet czas, kiedy ten okres nawiedzenia, kładł obok wyobrażeń dziecinnych, naprzykład wierzył, pamięta to, może we śnie, może na jawie, że gdy poruszał gwałtownie rękami, mógł podfruwać, lekko unosił się na szafę, albo krążył w oczach zdumionych rodziców trąc ubieloną głową i karkiem o sufit.

Patrzy chwilę tępo na śmieszne cienie błądzące po ścianach. Nagle głos cichnie. Lektor wskazuje miejsce palcem i schodzi jeść. Drugi, ocierając jeszcze wierzchem dłoni usta, zaczyna czytać dalej.

„— Biada temu kto zabija miłość, kto pogrąża ją w cielesnym nasyceniu, otwierając furtę złemu duchowi.

Biada temu, kto wydaje miłość w niewolę.

CLAUDE MCKAY

Śpiew religijny murzynów

Wyrwali cię z środowisk twoich macierzystych,
w których żar słońca tonom twym nadawał słodycz
i akcent skargi pieniom o pracy bez końca
a muzyce rozlewność, uczucie i brzmienie.

Wyrwali cię z twych lasów pełnych zadum,
gdzie psy myśliwskie ton twój w lot chwytały uchem,
gdzie tylko ptaki wraz z kwiatami treść twą znały,
czar rozumiejąc szlochań, co w twej krtani drgały.

I ponieśli cię w salę, gdzie błyszczą marmury
ludzi ponurych, twardych, dumnych, bez sumienia,
podobnych do złoczyńców, co święcą karnawał.

Dla nich dłoń obca i niszcząca wszystko, rzuca
cię w kształty obce tobie, a gra wirtuozów
topi twą piękność w hucznym instrumentów wrzasku.

Z angielskiego spolszczył Stanisław Helsztyński.

Jeżeli na nas ciąży ta wina, szukajmy wyzwolenia w Panu. Jeżeli dotąd opieraliśmy się wrogowi, czuwajmy, podwójmy straże. Bo im twierdza bardziej obronna, tym doskonalsze wojsko ją oblega.

Dla nas niema drogi pośredniej.

Miłość lub niewola.

Tyrania złego ducha, lub poddanie się Chrystusowi."

Jan opuszcza nagle łyżkę. Podnosi oczy jak osaczony, — o nadziejo ratunku, jakżeś daleko.

I ojca Hieronima już niema. Może przedłoży tam, wyliczając się z dokonanych spraw i jego trwogę. Może wyjedna rozstrzygnięcie.

Nie były to spowiedzi, te długie rozmowy, w których ojciec Jan szukał usprawiedliwienia. Przecież ta heroiczna decyzja nawet w oczach najbliższych była tylko obłąkanym kaprysem.

I on przecież był normalnym, jeżeli taki człowiek istnieje. I on nauczył się kopać piłkę i drwić z dziewcząt. Pamięta z jaką radością gnali rycząc ulicami. Z bandą hultajów stali tupiąc niecierpliwie pod drzwiami klasy. Nie wpuszczano ich wcześniej, bo to stado młodych zwierzaków deptało po ławkach, biło się kałamarzami i śmierdziało tęgo.

Ulubioną ich zabawą, w tej szkole ludowej — mieszkali wtedy na przedmieściach Paryża, bo matkę męczyły hałasy rozpalonych ulic śródmieścia — było pluć prosto w pyski rozwścieczonym psom, miotającym się za kratami luksusowych will. Albo z małpią złośliwością oddawali mocz w butelki, na które nakładali czepek ze staniolu i owinięte w bibułkę zapominali w autobusach.

Jeżeli to mają być dowody normalności — to z całą pewnością był normalny.

Potem gimnazjum. Rósł w nim rozsądek, spojrzenie stygło, już był bliski pogodzenia się ze światem. A jednak zachował wrażliwość na krzywdę społeczną, rozumiał niesprawiedliwość podziału. Dla biednych miał zawsze dłoń otwartą. Ale przecież nie o to chodzi, cóż daje łatwość z jaką sięgał do kieszeni po kilka sous, jeśli braknie miłości. Jan dopiero teraz rozumie.

— Miłość, mówił ojciec Hieronim, jest źródłem życia, bez niej nawet wszystkie dobre uczynki to plewy. Dziś nie mając czasu powierzamy ją organizacjom. Św. Wincenty à Paulo, to tylko akuszerzy, którzy próbują wydobyć ją z serc zasłoniętych portfelem. W miłości nie można urzędować... Kto daje srebro, a skąpi serca, nie czyni zadość jej nakazom, ale im bluźni.

Miłość kobiety to tylko szczególny wypadek miłości bliźniego. Małżeństwo jest świetną szkołą miłości społecznej, bo ileż ustępstw wymaga sztuka trwałego pożycia z jedną istotą, mówił, uśmiechając się łagodnie i trochę drwiąco.

Jan pamięta, jak świat przeobraził się, gdy poznał Teresę. Przecież kocha ją dotąd, ale inaczej, całkiem inaczej...

Wstają. Modlitwa dziękczynna. Zakonnicy wychodzą ukończyć prace przed nocą. Ojcowie eremici suną do swych samotni. Chłodny oddech wpada do sali, uniesiona lampa kopci. Jan idzie pod wiatr. Podmuch zrywa mu kaptur, targa nim na karku. Nad nim niska noc.

Staje oparty o mur, zagradzający stromy spadek w dół, gdzie bełkocze strumyk. Gałęzie wspinają się po murze. Zdaleka jak pomruk burzy obsuwa się nawis śnieżny, przeżarty, porowaty i podmyty krajami przez ciepłą wichurę.

— Miłość, miłość... szepce, potem wsuwa palce w rękawy i pochylony jak pod brzemieniem idzie do swojej celi.

Chłodno tu, pachnie bliskim kurnikiem, zmierzwioną słomą i wapnem. Jan klęka. Słyszy tętent wichury przebiegającej nad dachem. Skrzypią krokwie. Nie zapala światła.

Z twarzą ukrytą w dłoniach myśli — cóż ty robisz w taką noc? I nagle zaczyna się za nią gorąco modlić. Akty strzeliste przeszywają noc jak płonące strzały.

* * *

Teresa wraca do domu. Niema jeszcze dziewiątej. Jest to chwila, w której wszystko zatraca swój sens. — Dlaczego przyszłam właśnie tu, a nie do mieszkania obok, myśli pocierając czoło. Pokój koi ją swoją martwotą. Myśli o herbacie, włączenie grzejki, szum wody w kranie, kłapanie pokrywki — tyle ruchu, rażącej żywotności, dla mizernego rezultatu szklanki gorącego płynu. Nie warto. Siada na fotelu. Opiera głowę o dłonie. Staje nagle w obliczu żałosnego bilansu. Ma lat dwadzieścia osiem, przeżyła połowę życia, czegóż dokonała, co osiągnęła? Czyż ten własny kąt — tapczan, dywanik, pończochy, mają pożreć żywego człowieka? Poco żyje? Poto by się tymi gratami obwarować, uwięzić, dać im się tyranizować?

Nagle czuje taki głód miłości, że jest gotowa upokorzyć się, byleby tylko wrócił. Ale jest już zapóźno. Klęcząc otwiera szufladę, wydobywa listy, fotografie, żałosne pamiątki. Próbuje uwierzyć że jednak to co pozostało, powinno ją zadowolić, tak jak dziecko cieszą kamyki i muszle, a przeraża żywioł spływającego morza.

Listów jest dużo, czterdzieści, może więcej. Prawnie wszystkie z wojska. Afrykańskie znaczki z jaguarem, palmą i murzynami. Z pierwszego najszczęśliwszego okresu listów nie ma. Byli tak krótko razem zaledwie nie cały rok. Ale szczęście jest egoistyczne. Dopiero oddalenie, tęsknota i smutek, otwierają nam usta do zwierzeń, pozwalają nam ocenić przeżyte już szczęście, któreśmy uważali za oczywiste i niewzruszalne.

Wyciąga z paczki jeden arkusz. W tej chwili światło gaśnie. Na ulicy też ciemno, tylko daleko kołyszą się światła jak łańcuchy spadające w wodę. Krótkie spięcie. Sąsiadka człapie pantoflami.

— Czy u pani też zgasło, woła przez drzwi.

Teresa milczy. Tak jest lepiej. Ściskając w ręku ten ziarnisty papier, który mówi o miłości, wyobraża sobie, że nadszedł dziś, w czasie gdy opuściła dom.

— Laurent, szepcze, tak cię kocham...

Za oknem krople zielonych iskier ściekają z drutów.

Jakby wywołany zaklęciem ukazuje jej się brunatny, z cerą południowca, czarnymi włosami, które są twarde i proste. Jest dobrym sportowcem. Nad nimi lato miejskie. Domy dyszą, a nad dachami wisi niebo przysłonięte tęczową mgiełką rozcieńczonych dymów i pary. Słaby turkot dzwonka, zatrzaskują się drzwi pneumatyczne. Kolejka rusza. Wyjeżdżają z dusznego półmroku między ogrody, gdzie ciepły kurz przygasił zieleń drzew owocowych. Wagon zaczyna miękko kołysać, a dłoń wystawiona przez okno napotyka opór.

Czyż może być coś radośniejszego, niż to dziecinne jeszcze porozumienie jakie między nimi zapada. Oto odkrywają w sobie tę wyjątkowość, żywiołową świeżość uczucia, które ich ożywia. Odnajdują ze zdolnością właściwą tylko zakochanym samotność w pełnym wagonie, spojrzeniami i przypadkowymi dotknięciami, wyrażają sobie nieustanny zachwyt. Nie wiedzą, że każdy gest powitalny, jest zapowiedzią rozstania, nie wiedzą, że wargi, które teraz nakrywają się tak szczelnie, właśnie dzięki tej chwili czystego pocałunku, odnajdą gorycz osamotnienia.

Zyskują sobie sympatię całego przedziału. Emerytowany pułkownik, uśmiecha się z aprobatą, a gdy wysiadają, przygładzając srebrnawy wąsik, podaje jej różowy goździk wyjęty z klapy. Każdy chciałby mieć udział w ich szczęściu, w chwili niepowtarzalnej z której nie zdają sobie teraz sprawy.

I cóż zostaje z tych dni? Powraca do domu szczęśliwa, na krótką noc, która wzmaga tylko radość codziennego odzyskiwania. Matka, która nie mieszka z ojcem, tylko sama, — poznaje z lekkości jej stąpnięć i świetlistych oczu — miłość.

— Nic nadzwyczajnego ten twój chłopiec, mówi, czarny drobny... Ale nie przyzna się, że na to spotkanie na tarasie kawiarni, ubierała się ze specjalną starannością i jest zadowolona z wrażenia jakie na nim zrobiła.

— Chciałbym, żebyś była taka ładna jak twoja matka, mówi Laurent, odprowadzając ją do bariery, zagradzającej otchłań Metra. Myśli skrycie — zawsze po matkach możemy poznać co zostanie z córek, gdy będą w ich wieku.

Za parę miesięcy będzie mówił inaczej.

Pamięta twarz Laurent, gdy czekał na nią w dusznym Jardin de Plantes, czekał na umówionym miejscu, mimo, że spadła nagła ulewa. Grube kulki okryte błonką kurzu skakały jak żywe srebro po rozpalonych ścieżkach. Nagle drzewo, które było dotąd wystarczającą osłoną, zaczęło przeciekać. Mimo słońca lało rzęsiście. Stada gołębi nie przerywały lotu.

Gdy ustało biegła go szukać. Wyszedł na przeciw niej przemoczony, szczęśliwy i ufający.

— Dlaczegóż się nie schowałeś, głuptasie?

— Deszcz mi dowiódł, że kocham! Czy myślisz, że dla kogo innego tkwiłbym tutaj? Nigdy nie byłem taki szczęśliwy jak w tym z nagła opustoszałym parku...

Pamięta jego uśmiech. Pamięta cyklameny na przeźroczystym kapeluszu matki, pamięta duszny zapach miejskiego siana w miniaturowych kopkach, w których ryły psy kurząc na pokoszonych trawnikach.

Ale z tych spotkań, gestów, uśmiechów, ptasiej poufałości stwarza się kraina do której będą jak wygnańcy tęsknić. Gdyż to co zamkną w dłoniach, kształt martwiejący już, którego rysy dostrzegają w milczeniu — nie jest obliczem miłości, chłód tych warg daleki od uśmiechu, który ich wabi w te rozsłonecznione dni miejskiego lata.

Teresa przesuwa palcem po plecionce fotela, to jakby szorstkość traw. Pojedyncze sosny, niskie szeroko rozrosłe. Dosyć spaceru. Ma bose nogi i piasek w sandałach. Przed nimi las, skonfiskowane dobra biskupie. Opiera nogę na pniu, nie ma nic ze zmysłowego wyrachowania w obnażonym wysoko kolanie. Nie ona, to Laurent zdejmuje sandał, wytrzepuje kamyki. Potem przyklękając przytula wargi do skóry zakurzonej na kolor złotawy, tyle właśnie, by zatracić chłód posągu, stać się bliską, jedyną, małą nóżką, którą można tylko całować. Ona wplata mu dłonie we włosy. Oto po raz pierwszy, chyli się w hołdzie do jej stóp głowa mężczyzny.

— Laurent, czyżbym cię nie dosyć kochała?

Przypływa na nią wielkie wzruszenie i gdy podnosi dłoń do oczu, światło zapala się nagle jak uderzenie pięścią. Wzdryga się przywrócona rzeczywistości. Gniecie list, zatrzaskuje szufladę.

Staje przy oknie twarda, prawie wyzywająca. Wiatr nie ustał, gałęzie wyciągają się, chwieją, jakby próbowały dosięgnąć, pochwycić coś co ulatuje z tą nocą.

— Napróżno szukam w sobie winy, tak musiało być, mruczy. Potem powoli zaczyna wyjmować szpilki z włosów przed lustrem, przeginając w tył głowę, patrzy wzgardliwie we własne zwilgotniałe oczy.

Okrywały ich ciepłe zmierzchy. Ciała drżą przytulone do siebie, jak zwierzęta ogarnięte lękiem przed nadchodzącą nocą. Dłonie igrają jak spoufalone pieski, splatają się, gładzą, obiegają, wreszcie wyciągają się wzdłuż pleców, przylegając szczelnie. Oto widzi jego twarz stężałą w maskę antyczną. Otwarte nieruchome oczy patrzą w niebo bez gwiazd. Tyle razy czuła na sobie ciężar jego ciała, a jednak są w tej chwili tak dalecy sobie i obcy.

W niezliczonych domach, w kamiennych klatkach miasta, powoli stygnącego — ciasno splatają się ramiona, mężczyźni wstępują w kobiety, próbują w chwili jałowej rozkoszy — zapomnieć o grozie nadchodzącej nocy, o zalewie materialnej ciemności. Serca biją niespokojnie. Trzymają się palcami kurczowo, zanim sen nie rozluźni ich mięśni, zanim nie utoną we wzburzonej pościeli. Jutro dzień nieznajomy, ranek przeszyty gwizdami fabryk obnaży całą ich nędzę. Oto dzwonki, klaksony, syreny — bicze pędzące stada niewolników. Pięściami przecierają oczy, suche, spalone, bez łez. Oto nowy dzień czeka jak natarczywe pytanie — in hac lacrimarum valle.

— Kochał mnie tak bardzo, aż odemnie uciekł.

— Kochał mnie tak bardzo, że skrył się za murami klasztoru. Teraz wolałaby go widzieć umarłym. A przecież żyje i to nie daje jej spokoju. Przypomina sobie ostatnią rozmowę. Dlaczego mu nie uwierzyła? Duma nie pozwoliła jej się ugiąć, poprosić o czas próby. Gdyby nie Ewa, która stała za nią jak czarny anioł, szepcąc, — Tereso, przecie ty nim kierujesz, żadna decyzja bez twej zgody zapaść nie może.

Laurent, jej Laurent i pogrzebany żywcem w klasztorku baskijskim ojciec Jan... Cóż za klęska...

I byłoby tak długo trwało, gdyby nie służba wojskowa i porzedzająca odjazd rozmowa z Ewą. Przydział otrzymał wbrew skrytym pragnieniom, że zostanie w garnizonie paryskim, do Marokka.

— Dziś jest dzień kolonialny, mówił stojący za nim piegowaty robotnik, wszyst-

---

Jean Giraudoux

Wojny trojańskiej nie będzie

HEKTOR: To jest teraz prawdziwa walka, Odseuszu?

ODYSEUSZ: Tak, walka, z kiórej albo powstanie albo nie powstanie wojna.

HEKTOR: Powstanie?

ODYSEUSZ: Za pięć minut dowiemy się o tym.

HEKTOR: Jeśli to jest spór słowny, widoki moje są nikłe.

ODYSEUSZ: Myślę raczej, że to będzie ważenie się. Wygląda tak, jakbyśmy stanęli na szalach wagi. Ciężar przemówi...

HEKTOR: Mój ciężar? Cóż ja ważę, Odyseuszu? Mój ciężar to młody mężczyzna, młoda kobieta i dziecko, które powinno się począć. Mój ciężar to radość życia, zaufanie do życia, wola do wszystkiego co dobre i naturalne.

ODYSEUSZ: Mój ciężar, to dojrzały człowiek, kobieta lat trzydziestu, to syn, którego co miesiąc mierzę u ramy drzwi wejściowych do pałacu... Mój ciężar to rozkosz życia i nieufność w stosunku do życia.

HEKTOR: Mój ciężar to frygijski dąb, owe wszystkie gęste, zbite frygijskie dębiny, co obrastają nasze pogórki, pełne kędzierzawego bydła.

ODYSEUSZ: Mój ciężar to drzewo oliwne.

HEKTOR: Mój ciężar to cały naród, naród spokojnych nikomu niewadzących chłopów, pilnych rękodzielników, tysięcy pługów, krosen, kuźnic i kowadeł... Ach! Czemuż to teraz, kiedy stoję przed tobą, wydają mi się wszystkie te ciężary naraz tak bardzo lekkie!

ODYSEUSZ: Ja dźwigam ciężar powietrza, owego nieruchomego, bezlitosnego powietrza ponad wybrzeżem i archipelagiem.

HEKTOR: Pocóż mówimy jeszcze, waga chyli się.

ODYSEUSZ: W moją stronę?... Tak, wierzę, że w moją.

HEKTOR: I ty chcesz wojny?

ODYSEUSZ: Nie chcę wojny. Atoli jej zamysłów nie jestem tak pewny.

HEKTOR: Narody nasze odprawiły nas tu obu, aby ją przebłagać. Nasze spotkanie już dowodzi, że nic nie jest jeszcze stracone...

DOYSEUSZ: Młody jesteś, Hektorze!... Jest tak, że w przedwieczerz każdej wojny spotykają się dwaj naczelnicy wrogich narodów, sami w którejkolwiek niewinnej wsi, na brzeżnym tarasie jakiegoś jeziora, w rogu pewnego ogrodu. I zgodni są co do tego, że wojna jest najstraszniejszym biczem świata, i obaj są pełni spokoju, skromni i lojalni. Tymczasem spojrzenia ich gonią za światłami i falami na wodzie, tymczasem kwiecie magnolii spada na ich barki. Poznają się wzajemnie. Spoglądają na siebie. A potem, gnuśni od spieki, nasyceni lekkim czerwonym winem, stwierdzają, że wszystko pożąda pokoju. Rozchodzą się podając sobie dłonie i czując się braćmi... A nazajutrz zrywa się mimo to wojna...

HEKTOR: Czy rozmowa, którą prowadzimy, jest rozmową nieprzyjaciół?

ODYSEUSZ: Prawem wielkich jest oglądać katastrofy z tarasu. Gawędzimy na godzinę przed wojną, bo jesteśmy rozsądni, prawi i grzeczni, tak jak potem długo będziemy znów gawędzić jako weterani. Być może, że powstaje stąd jakaś krzywda dla nas obu. Ale wszechświat wie, że będziemy się bili.

HEKTOR: Wszechświat może się mylić. Po tym poznaje się błąd. Błąd jest uniwersalny.

ODYSEUSZ: Oby tak było. Ale jeśli los przez setki lat wychowywał dwa narody do wielkości, jeśli otworzył dla nich tę samą przyszłość mocy poszukiwania i wynalazczości i tę samą przyszłość potęgi: jeśli z każdego z nas, tak jak staliśmy co dopiero na szalach wagi, uczynił cenny i różnolity ciężar, aby odważyć nim radość,

kich tam wysyłają. Ale nie martwcie się kolego, to od nas tylko zależy, byśmy tam stworzyli sobie Paryż. Przecież wino i dziewczęta są tam tańsze...

Czekało go osiemnaście miesięcy w El Baruch, w pułku pustynnym, u meharystów.

— Ciekawym jak sobie dasz radę z Teresą?

— Jakto, przecież jest moją narzeczoną?

— No to co z tego, kiedy jest niewierzącą. To będzie zawsze między wami, a gdybyście mieli dzieci...

— Ależ Ewo, ona mnie kocha...

— Ale nie kocha Boga, powiedziała drwiąco. Myślisz, że ją nagniesz do praktyk katolickich?

Wtedy nie rozumiał jeszcze błędów swego postępowania. Zmarszczył czoło.

— Myślę, że tak, powiedział twardo, a potem w poczuciu winy, szepnął, — będę ją prosił o to...

Wystarczyło Ewie powtórzyć tę rozmowę, by Teresa oparła mu się i odrzuciła wszelką próbę pojednania.

— Albo kochasz mnie taką jaką jestem — niewierzącą i grzeszną, śmiała się, albo nie zawracajmy sobie głowy miłością... Ty zawsze lepiej wiesz, co powiem za lat dziesięć, martwisz się jak będziemy wychowywać dzieci... Jeszcze nam to nie grozi... Byłoby lepiej,gdybyś tak całą tę swą subtelność skierował na chwilę najbliższą.

Teresa teraz żałuje, że nie miała z nim dziecka, to jedno mogło go zatrzymać od tej strasznej decyzji.

* * *

Ojciec Jan słyszy ziarna piasku ćwierkające na szybach. Czuje ciepły oddech wichury.

— Wolta w prawo, woła kapitan. Palmy sterczą nastroszone jak kartonowa dekoracja, na tle czerwieni. Konie tonąc po pęciny w piasku ujeżdżalni, odwracają niespokojnie głowy od przeszkody. Rudawy kurz wzbija się spod kopyt.

— Podprowadzać powoli... Nie wypuszczaj zawcześnie, krzyczy nagle, galop, uczciwy galop!

Laurent ściska udami boki klaczy. Kłusuje. Siodło skrzypi. Czyż jest coś piękniejszego od tego porywającego biegu? Grają trzewia. Jeszcze jedno uderzenie kopyt i chwila lotu, skok w dogasające słońce. Koń rzuca łbem, parska, lekkim kłusem dołącza do grupy.

Teraz spada ciemność, nagła, bez ostrzeżeń. Ledwo widać nadpływające sylwetki jeźdźców w mroku, która dymi z wydm. Słychać chrapanie i tupot koni, stuknięcie kopyt o barierę i trzask przewracanej chyrdy. Zwolnione ruchy, okrzyki, które gubią się we fioletowej mgle, świat, widziany ślepnącymi oczami.

— Skrócić wodze. Pilnuj bo wyłamie!

Słychać stękanie konia idącego na przeszkodę, rwący rytm galopu. Potem chwila ciszy, tylko skrzypi deptany piasek. Kierując się raczej słuchem jeźdźcy wykonują manewr. Laurent czuje zdrowy zapach końskiego potu i nagrzanych rzemieni. Rozjeżdżają się i zbierają w jeden szereg, gdy gwiazdy wilgotne, świetliste zawisają tuż nad skórzanymi liśćmi palm.

— Dziękuję panom! Słyszą trzask szpicruty. Już nadbiegają strzelcy odbierając im konie. Laurent klepie Dorę po karku, czuje nerwową, ruchliwą skórę. Klacz odwraca głowę, szczypie go za burnus miękimi wargami. Laurent wodzi po nich dłonią, znajomy kapryśny pysk, brodawki z kępkami miękiej sierści i ten grymas zawiedzionej piękności, który czyni ją podobną do angielskiej guwernantki.

Daleko lunaryjnym światłem mżą rozpalone domy osady. Słychać stamtąd zmysłowe klepanie bębna.

— Idziesz Laurent?

— Nie, zostaję.

— Zamiast pisać listy do tej lilijki, poszedłbyś z nami. No, nie namawiam cię do zdrady, ale warto, żebyś się z którąś przespał, choć tylko poto, żebyś z wprawy nie wyszedł...

— Jazda, na co czekacie, wołał ktoś niecierpliwie.

— Hallo Laurent, krzyczą jeszcze z daleka, a zmów za nas paciorek!

Laurent siedzi przy otwartym oknie. Kolega Saint Sabie gra sentymentalne Letre de Manon, tony skrzypiec wiszą długo w ciemności jak smugi łagodnych dymów. Pierwszy chłodny powiew przewraca kartki.

— Gardzę nimi, a w czymże jestem od nich lepszy, Tereso teraz wiem ile ci jestem winien...

Potem chodzi długo. Na dole stukają sandały straży. Krótkie chrapliwe okrzyki. Zmiana warty. To już północ.

* * *

A jednak pytał ją nieraz. — Niedziela dziś, byłaś na Mszy?

— Nie, poco?

— Przecież jesteś katoliczką.

— Eeee, machała ręką lekceważąco, to nie ważne...

Był czas, kiedy mu ten stan dogadzał. Wiedział, że postępuje źle, ale przychylał się do jej zdania — przecież to takie naturalne skoro się kochamy. Czasami się buntował. — Nie będziemy tego więcej robić, brońmy naszej miłości Tereniu! Ale ona uśmiechała się tylko. Wiedziała, że wystarczy objąć go, przytulić, by znowu wszystko było tak jak dawniej.

Któregoś dnia po spowiedzi i Komunii, chciał przyprowadzić ją za rękę do Zbawiciela i modlić się: To jest moja narzeczona, oddajemy Tobie miłość naszą. Oczyść ją, by stała się jedną z Twoją Boską miłością... Ale Teresa nie chciała wcale wejść do kościoła.

Laurent pamięta teraz wszystkie szczegóły, jak opiłki za magnesem, zbiegają się te drobne na pozór starcia. Ogarnia go zwątpienie. To zazdrosna Ewa posiała w nim niepokój. A może był to głos ostrzeżenia?

Cóż ja potrafię, myśli. Modlitwa. Dobry przykład. Przecież tyle razy ją zgorszył swoją bezbronnością. Mówił — nie, nie, i sam ją obejmował. Miało to dla niej nawet urok, wydzierała go Bogu. Wiedziała, że cierpi. Wtedy była pewna, że jest jej i tylko jej. Ręka sięgająca do kontaktu gasiła niewidzialny blask łaski. — Bo wy, katolicy, mówiła pogardliwie, w tym „wy" — zaznaczając swoją obcość...

Na parę dni przed wyjazdem, gdy wracali z wycieczki do Chateau de Vincennes, przechodząc koło kościoła św. Genowefy zobaczyli otwarte drzwi, oświetlone ołtarze i garść wiernych klęczących w adoracji. Weszli. — Może, pomyślał, patrząc na robotników, oficera i dzieci, to ta gromada sprawiedliwych, która wstrzymuje karzącą pięść Boga, nad grzesznym Paryżem. Ale czy ich błagania wystarczą?

— Tereniu, mówił, czułaś to ogromne wzruszenie, jakie daje bliskość Boga.

— Mój drogi, odpowiedziała oschle, jeżeli ci wiara jest potrzebną, to wierz, tylko proszę cię mnie nie zmuszaj. Ty jesteś naturą organicznie religijną, a ja znam setki ludzi, którym wystarcza własna moralność, nie trzeba ich straszyć piekłem, aby żyli uczciwie. Katolikiem być najwygodniej, wyspowiada się i znowu grzechy nabierają dla niego świeżego smaku. Ty wierzysz w ten opłatek w pozłacanej blasze...

— Przecież i tyś klęczała.

— Klęczałam, żeby ci nie sprawić przykrości.

Nie wiedziała, że teraz dotknęła go najboleśniej. Kiedy o tym pomyśli zdaje mu się, że to on jest wszystkiemu winien, że to on ją najbardziej zraża.

— Katolicy, są największymi wrogami kościoła, tak mówił zmarły ojciec Hieronim, kto słyszy, to co głoszą i widzi jak żyją, temu może się zdawać, że nawet męki Chrystusa jest za mało by obudzić człowieka.

Coraz bardziej rośnie w nim poczucie winy. Przecież mają miłość — dar niezwykły.

Gdy przyjeżdża na urlop zastaje Teresę w żałobie. Zmarł jej ojciec. Jest mu teraz jeszcze droższą. Jak każdy mężczyzna, próbuje obowiązkiem opieki ulegalizować swoją zaborczość. A jednak czują w sobie odmianę — kiedy pada pytanie podszyte obrażającą podejrzliwością — dlaczego oddałaś mi się tak łatwo?

— Przecież kochałam cię, odpowiada zdumiona.

— Tak, prawda, kochałaś, to wszystko usprawiedliwia, pochyla głowę.

— Ty już nie jesteś moim chłopcem, odwraca się Teresa, jesteś taki twardy.

Powraca do pułku jeszcze bardziej obarczony poczuciem winy.

W noce bezksiężycowe wyjeżdża na patrol. Wielbłądy stąpają kołysząc się rytmicznie, razi go brak dzwonków, tego wibrującego srebrnego tonu, który tak daleko niesie się w pustyni. Gdy zapadają między wydmami, garść żaru tli się, leżą, czuwając obok przeżuwających zwierząt. Nad nimi ogrom gwieździstego nieba, przesypują się fale piaszczyste, wzburzone i zastygłe morze umarłych. W takie noce czuje nad sobą nachylonego Boga.

Trochę dalej słychać nieustanny ruch, drapią niezliczone pazurki, coś przebiega i krąży. Piasek śpiewa. Tu, w środku kręgu spoczywających ludzi i zwierząt, w blasku tego co jest zaledwie cieniem ognia, Laurent modli się. Czuje spadające ziarnka piasku, jak pył wystygłych gwiazd. — Rankiem budzi się nawpół zasypany, piasek długimi językami podmywa ciało, opiera się na piersiach, jak zmora dławi oddech przeczuciem śmierci.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że miłość nasza jest inna, pisze, mocna i prosta.

— Nie! Nie, jest taka sama jak wszystkich, odpisuje z uporem Teresa, choć wie że tak nie jest. Czego mnie męczysz, czego ode mnie jeszcze chcesz?

— Chcę twojej duszy...

— Piszesz jakbyś był demonem, przecież masz mnie całą.

Ale tak nie jest.

Posiadanie. To wiecznie niezaspokojone pragnienie całkowitego pogrążenia się w sobie, stałego stowarzyszenia ciał i dusz. Jeżeli życie nasze tu jest tylko epizodem w dążeniu do Boga, jeżeli po zgonie czeka nas życie wieczne, bezmiar lat, czyż mógł się wahać.

Jakże pragnął mieć ją na zawsze, pogrążyć miłość kobiety w miłości Boga, jak rzeka, która rzuca swe wody w otchłań błękitu. Jakaż radość rozpoznać świetlaną twarz ukochanej, witać ją po tamtej stronie. O życie triumfującej miłości! Przecież codziennie mówimy — „wierzę w ciał zmartwywstanie i w żywot wieczny".

Jeżeli ja jestem przyczyną jej upadku, muszę uzebrać u Boga łaskę podźwignięcia nas.

Któż miał ją nauczyć innego spojrzenia, jeżeli on świadomy swego celu postępował najgorzej. Pomimo całej niewiary i uporu, wydawała mu się piękną i cenną jak nigdy. Zdobył ją dla siebie, teraz powinien ją zdobyć dla Boga.

Kto miał jej o Nim mówić? O Nim wypędzonym z domów burżuazji, wygnanym z urzędów i szkół, zbędnym starym rekwizycie? Może matka, myśląca tylko o sobie z twarzą ptasią, nieskażoną żadną myślą ani troską? Ojciec uwikłany w pracę związkową w syndykacie, gdzie — greve i action directe, powtarzano do obłędu, gdzie walczono tak gorliwie z Bogiem, że nie starczyło już sił do obrony Francji przed najeźdźcą.

Ogarnia go przerażenie. Więc mnie ją powierzył Bóg, mnie wybrał i jakże Go zawiodłem. Cóż zrobiłem z nią, myślał zrozpaczony, co jeszcze zostało do uratowania?

Gdyby wtedy poczuł na sobie wzrok Zbawiciela, nawet pełen miłości i wybaczenia — czułby w nim palący wyrzut, bo są chwile w życiu człowieka, kiedy najwyższą łaską jest odwrócenie oczu.

Gdy wrócił z wojska nic nie różniło go od zwykłego oficera, chyba ta egzotyczna odznaka i jedwabny sznur jaki przysługuje hadżim. Spalony i dziwnie dojrzały podobał jej się jeszcze bardziej.

— Czy chcesz zostać moją żoną?

Wtedy ogarnięta nierozumną dumą, pełna skrupułów, czy nie robi tego z poczucia obowiązku, powiedziała — nie, nie, bo byś mnie zmuszał do wiary w twego Boga.

— Tereso, ja...

— Ty nie jesteś winien. Wszystko co między nami było, stało się z moją wolą. Tego nie potrafię żałować.

Tak. To była prawda. Nawet Bóg nie może nas zbawić bez udziału naszej woli.

— Ty byś mnie zadręczył swoją dewocją, daj mi spokój... Albo będzie tak jak było, albo rozejdźmy się! Mówisz. — Kocham, kocham cię — i cóż mi z twego kochania, wyrzucała mu niesprawiedliwie. czyż nie potrafisz się zadowolić tym co masz? Zaraz mnie chcesz zmieniać i burzyć co sobie z takim trudem wzniosłam. Przecież ja wierząca, to już nie będę ja — ta, którą kochasz.

Czuli, że należą do siebie, miłość ich skuwała ciaśniej niż dotąd. Próżno odtrącała go. Przyjmował te oskarżenia z upokarzającą cierpliwością. Wtedy całowała go płacząc — jestem nieznośna, wiem o tym...

Kiedy ponawiał swą prośbę, mówiła — Laurent, kochamy się bardziej niż inni, a jesteśmy nieszczęśliwi. Widzisz bo w zwykłej miłości, jedno kocha, a drugie łaskawie pozwala się kochać... Nie wymagam od ciebie wyrzeczeń, wiem, że zawsze Bo-

---

sumienie a nawet przyrodę całą — wtedy dopiero wie wszechświat dokładnie, że przez to wszystko nie otwiera ludziom dwóch dróg rozwoju, lecz że przez to wszystko szykuje się święto, święto rozpasania ludzkiej brutalności i głupoty, potwierdzonych przez bogów. Przyznaję, że jest to polityka małostkowa. Ale dwaj naczelnicy państwowi mogą sobie między sobą rzec: taką zwykle jest polityka losu.

HEKTOR: Zaś Troja i Grecja mają być dzisiaj tymi, które los wybrał? Czujesz się u nas, jakbyś stał na wrogiej ziemi...

ODYSEUSZ: Nie biją się nieprzyjaciele, z natury obcy i wstrętni sobie nawzajem, ale tacy, których los wychował i przygotował do równej wojny: rywale.

HEKTOR: I my jesteśmy gotowi do greckiej wojny, sądzisz?

ODYSEUSZ: Tak i to w nieprawdopodobnych rozmiarach. Tak jak przyroda uzbraja owady, między którymi przewiduje się walkę, w słabości i broni sobie odpowiadające, tak i my, dalecy i nieznani sobie wzajemnie, podnosimy się na płaszczyznę naszej wojny. Bronie nasze i nasze przyzwyczajenia odpowiadają sobie jak zębate koła.

HEKTOR: A inni Grecy, czy oni myślą tak samo jak ty?

ODYSEUSZ: To co oni myślą też nie jest zbyt uspokajające. Oni myślą o bogactwie Troi. Złoto waszych świątyń i złoto waszego zboża na przedgórzach podało naszym okrętom znaki, których nie zapomną. Niezbyt mądrze jest posiadać bogów i owoce ze zbyt wielką ilością złota. Ale ponad wszystkimi myślami i rozważaniami unosi się pewnego rodzaju zgoda do wojny, wytwarzana przez atmosferę, akustykę i temperaturę świata. Obłędem byłoby rozpoczynać wojnę nie znając jej.

HEKTOR: I teraz ją znacie?

ODYSEUSZ: Sądzę, że znamy wojnę. Chcę wszakże, byś mnie zrozumiał Hektorze, pomogę ci w tym. Niech cię jednak nie zgorszy fakt, że będę interpretował los. Chcę jedynie przeczytać wszystkie owe ogromne rządki liter wszechświata, drogi karawan, podróże okrętów, ślady żurawi w locie i ślady ras. Daj mi dłoń twoją. I ona ma swoje linie. Nie badajmy jednak, czy wykładają nam one to samo. Przyjmijmy, że owe trzy małe linie w dłoni Hektora oznaczają przeciwieństwa tego, co powiedziały by nam strumienie, pustynie i ślady okrętów. Jestem ciekawy z natury i nie mam żadnej bojaźni. Jestem gotów wystąpić przeciwko losowi. Ujmę się za Heleną. Oddam ją Menelausowi. Posiadam większą wymowność niż potrzeba, by przekonać męża o wierności jego żony. Doprowadzę nawet do tego, że Helena sama pocznie w to wierzyć. Wyruszę natychmiast, uniknę przez to każdej niespodzianki. Już na okręcie możemy się chyba odważyć na przeciwstawienie się wojnie.

HEKTOR: Jest-że to Odyseusza chytrość albo wielkość?

ODYSEUSZ: Moja chytrość kieruje się w tej chwili przeciwko losowi, nie przeciwko tobie. To jest moja pierwsza próba. Tam można zdobyć większą sławę... Idę zatem... Nie mogę się jednak pozbyć wrażenia, że droga stąd do mojego okrętu jest bardzo długa.

HEKTOR: Straż moja odprowadzi cię.

ODYSEUSZ: Droga jest długa jak oficjalna ścieżka królów w czasie odwiedzin królewskich, gdy grozi zamach... Gdzież ukrywają się spiskowcy? Bądźmy zadowoleni, jeśli nie ma ich w niebie. Więc długa jest droga z tego miejsca aż do rogu pałacu... I długi jest mój pierwszy krok... Jak stąpnie mój pierwszy krok w kręgu tych wszystkich niebezpieczeństw... Czy się pośliznę, zabijając się? Albo może spadnie na mnie gzyms jakiś z tego rogu? Odwagi... Idźmy.

(Odyseusz czyni pierwszy krok).

HEKTOR: Dziękuję ci, Odyseuszu.

ODYSEUSZ: Pierwszy krok mija... Ile mi jeszcze zostało?

HEKTOR: Czterystasześćdziesiąt.

ODYSEUSZ: A oto i drugi! Ty wiesz Hektorze, co skłoniło mnie do pójścia...

HEKTOR: Wiem. Szlachetność.

ODYSEUSZ: Nie zupełnie... Andromacha ma tę samą barwę oczu co Penelopa

Z francuskiego spolszczył

Jerzy Szumilas

ga przełożysz ponad mnie, ale pamiętaj, że i ja mam swoje zasady.

— Jakiż ja byłem głupi, szeptał.

— Może dlatego byliśmy tak szczęśliwi. Dosyć namęczyłam się przez ten rok. Muszę zacząć być egoistką, oni są najbardziej szczęśliwi. Popatrz, moja matka...

— Złamała życie twego ojca, opuściła go.

— Ah ojciec, to był człowiek dobry, tylko słaby i lubił wino. Może matka nie walczyła o niego, ale ona go nie kochała, czy możesz ją o to oskarżać? Ja nie mogę dla mitu przyszłego życia marnować tego.

— Tereso, jeżeli mnie nie zrozumiesz, to...

— Grozisz mi?

— Nie, błagam.

Wtedy Teresa uważała całą tę rozmowę za chwilowy kaprys, nie przypuszczała, że jest gotów na to szaleństwo. Rzucić swoje życie i miłość na szalę miłości wiecznej? Nagle Laurent, ku oburzeniu całej rodziny wstąpił na teologię. Potraktowano to jak zdradę, a Teresę pocieszano jak osobę oszukaną i pokrzywdzoną.

Teresa nie szukała innego kochanka. Czasami zdawało jej się — byle kto, przecież to jest to samo. Chciała się zemścić. Niech widzi moją nędzę i upadek. Ale czuła, że nie na nim, tylko siebie samą by krzywdziła. Kochała tylko jego. Prymicje odprawił za nią, ofiarował ich miłość Bogu, błagając by przywrócił mu ją we wieczności.

Cztery lata samotności. Cztery lata czuwania.

Ojciec Jan klęcząc ściska palcami skronie. Czyżby pomylił się. Na próżno zarzucał sieci. Pośród połowu nie było duszy ukochanej.

— Panie daj znak. Panie dozwól mi znaleźć cień nadziei, że ją ocalisz od zagłady. Ja wiem, że niezbadane miłosierdzie Twoje może ją dosięgnąć w chwili ostatniej. Ale nie daj jej czekać tak długo. Nie dla mnie, ale dla siebie ją ocal. Błagam o miłosierdzie dla miłości mojej.

Ziarna piasku uderzają o szyby. Pustynny deszcz śmierci i zapomnienia.

W taką noc najlepiej głowę płonącą ostudzić kapturem mnisim.

— Czyż wszystko napróżno? Post, umartwienia, modlitwy. Ona nie umie się bronić, ujmij jej cierpień i zmagań, a daj je mnie. Jestem silny, mogę dźwigać więcej. To nie z pychy przemawiam, tylko z miłości. A czymże jest miłość moja, wobec Twojej ogarniającej świat? Jeżeli pragniesz tego, jeżeli o ten okruch jesteś zazdrosny, oddaję Ci ją, będę wyznawał Ciebie, Ciebie, choć i ją tylko w Tobie kocham.

Osuwa się, leży krzyżem. Chłód idzie od kamiennej posadzki. Ścierpłe kolana bolą. Za oknem odzywa się kołatka i klekoczą sandały spieszących na modlitwę braci.

Bocznym wejściem przechodzą przez czarną, zimną pieczarę nawy, zstępują powoli w czeluść krypty. Zapadają w stallach. Czerwony płomyk mży przed ołtarzem. W tylnej ścianie czarne wnęki, w które wsuwa się zwłoki. Gdy zapełni się ostatnia, otwierają pierwszą, wymiatają próchno i kości, biją tablice. Proch jesteś i mijasz jak cień, przepadasz w zapomnieniu pokoleń. Powietrze jest duszne od zapachu kadzidła i siarczanych wyziewów mogił.

Cisza. Syczą tylko oddechy i chrzęszczą kulki różańców jak osypujący się wir.

Na środku na katafalku spoczywają zwłoki ojca Hieronima. Nim minie godzina będzie wydany na sąd.

Jeden z braci wstaje puszcza wahadło zegara. Wszyscy padają na kolana. Oto straszliwe memento. Strzeżcie upływającego czasu, każda strwoniona minuta was oskarża. Zgrzytają tryby, uderzenie kwadransa spada jak cios topora.

— „Panie, Panie odpowiedz mi, jak wiele mam nieprawości i grzechów, złości moje i występki okaż mi.

Przecz kryjesz oblicze Twoje i mniemasz mnie nieprzyjacielem Twoim? Przeciw listkowi, który wiatr porywa okazujesz moc swoją, źdźbło suche gonisz. Piszesz bowiem przeciw mnie gorzkości i chcesz mnie zniszczyć grzechami młodości mojej.

Włożyłeś pęta na nogi moje i strzegłeś wszystkich ścieżek moich i śladom nóg moich przypatrywałeś się. Który jako rzecz zgniła zniszczeć mam. Kto może uczynić czystym tego, który począł się z nasienia nieczystego. Azali nie Ty, który sam jesteś?

Krótkie są dni człowiecze. Zamknąłeś granice, które nie będą przestąpione. Daj mu tedy by odpoczął, aż przyjdzie upragniony, jako najemnika, dzień jego.

I znowu w grubej ciemności wybucha skarga.

— „Czy mniemasz, że umarły znowu żyć będzie? Przez wszystkie dni których teraz żałuję, czekam aż przyjdzie odmienienie moje. Zawołasz mnie, a ja odpowiem, dziełu rąk Twoich podasz prawicę. Tyś wprawdzie kroki moje policzył, ale przepuść grzechom moim."

Bije o sklepienie błaganie. Pan milczy. Tylko zgrzytają tryby zegarów. Oto prawda o przemijaniu.

— Requiem aeternam dona eis Domine, et lux perpetua luceat eis.

Oto prawda o śnie i przebudzeniu. Do innego życia powołani, nie znajdujemy nasycenia, zarzucamy modlitwy jak kotwice w błękit bez dna. Boże wprowadź nas do ojczyzny naszej.

Jakże się czują mali. Nowa szczerba wyłamana w szeregu. Kogo tam we wielkim świecie Bóg swoim piętnem naznaczy, kogo wybierze... Pamiętają własne bunty, znają ciężar jarzma.

Zapalają świece. Ojciec Kosma w czarnym ornacie pogrąża się w misterium Ofiary. Teraz modlitwy tych kudłatych fratrów dudnią jak krok bojowy kohorty, słychać twardy rytm stąpnięć naprzeciw mocom ciemności.

Ponad nimi płynie ojciec Hieronim, z kapturem opuszczonym na oczy, z dłońmi skrępowanymi różańcem. Światło drga w siwej brodzie, jak cień oddechu. Aż przyjdzie wieść oliwna.

Czyż napróżno ojciec Jan wygląda znaku? Czy noc którą przeżył, jest jednym z ogniw łańcucha? Zna ten ciężar, jak długo jeszcze wlec mu go przyjdzie? Zna dobrze jałowy trud walki. To nie zwątpienie, tylko smutek z bezskuteczności ofiary. Co dzień dobijać się do wrót, uderzać całem ciałem i znów upadać, budzić się, czując chłód ciągnący z kamieni na których leży krzyżem.

Miał przeczucie, że szala przechyli się. Ufał, że będzie mu dana łaska oglądania odrodzonej miłości.

Zamiast witać, żegna odchodzącego przyjaciela i przewodnika.

— Gdyby tu przyjechała, pamięta jego rozkazujący gest, jedynie rozmowę możecie odbyć tam — wskazał na konfesjonał.

Ale próżno ojciec Jan w nim zasiada, choć nadeszła pora wielkanocnej spowiedzi. Czasem zajrzy tu któraś ze starych wieśniaczek, które idąc zgarbione patrzą ufnie w ziemię wabiącą odpoczynkiem.

Kapłan stoi nad zwłokami. — Wybaw mnie Panie, woła za zmarłego, od śmierci wiecznej w on dzień straszliwy, kiedy niebiosa i ziemia poruszone będą, gdy przyjdziesz sądzić świat przez ogień.

Spadają krople święconej wody, smuga świetlanych łez. Niosą go teraz na desce, zsuwają w mroczną niszę, jak chleb spycha piekarz w czeluść pieca.

Rzucają trzy garści piasku. Ojciec Jan czuje pomiędzy ziarnami, białawe kawałki wapna, jakby zbielałe okruchy pokoleń, dawno zeszłych pod ziemię. Piasek kładzie się, pogłębiając fałdy habitu, wróży spokojny sen.

Zaledwie wprawiono płytę i zazgrzytała kielnia, wybucha radosny śpiew:

„Niechaj wyjdą Aniołowie na twoje spotkanie sprawiedliwy, niechaj męczennicy zawiodą cię do wiecznego Jeruzalem.

Radujmy się bracia, jeszcze jeden z kościoła walczącego wstępuje w triumfujący. Nowego zyskujemy opiekuna i orędownika."

Kiedy wychodzą z kościoła jest jeszcze ciemno. Ojciec Jan czuje gorycz, idzie szurając sandałami, postarzały nagle przez tę noc.

— My żołnierze, mówi do niego w zaufaniu brat Damian, wiemy to lepiej niż oni, wskazuje na rozchodzących się zakonników. Cóż zostało z armii Aleksandra, Napoleona, Hitlera? Co oni obiecywali swoim żołnierzom, że za nich ginęli z radością? Tracili życie walcząc w imię nienawiści. Dla nas ginących w imię miłości, niema śmierci, śmierć to tylko przekroczenie progu wiecznego życia. My rozumiemy ich posłuszeństwo, bo i nasz wódz Chrystus, żąda byśmy wytrwali, choć nie ogarniamy całego planu, choć zdajemy sobie sprawę z naszej klęski...

Tak, myśli ojciec Jan sięgając po modlitewnik. Trzeba utracić miłość, by miłość odzyskać.

Czuje w głowie tępe znużenie udręczonego bezsennością ciała. Za chwilę pójdzie odprawić Mszę.

Oto trzy ogniste rzeki wlewają się w świat — libido sentiendi, libido sciendi et libido dominandi. Niema dla nas ziemskiego ratunku — oprócz łaski. Tak woła marmurowa szarfa nad bramą kościoła — „rien que la grace".

Drzwi celi zamykają się z trzaskiem.

* * *

O tej porze budzi się Teresa. Jest zdrętwiała, niewypoczęta po tym śnie w ubraniu. Z trudem rozprostowuje skulone nogi. Orazu powraca jej świadomość wczorajszego zmagania. Podchodzi do okna. Nad Paryżem, ponad dachami ledwie zaznaczonymi w perłowym rozjaśnieniu, pęka złotawa szczelina.

Jakże rzadko mamy możność obserwowania misterium rodzącego się dnia. Jak rzadko świt zastaje nas czuwających.

Ogarnia ją ogromne wzruszenie. W tej ciszy, przez intensywniejący błękit, nieskażony dymami, czysty jak w dniu stworzenia, przybiega różowiejąca klinga. Purpurowieje, dymi gorącą czerwienią, jak brocząca rana: Powoli kurtyna ognia napina się i unosi. Strzelają trzy pęki promieni jak z Oka Opatrzności.

Czuje łzy dławiące ją w krtani — oto już ono — słońce!

Upada na kolana. Nawet nie wie jak się tym uwielbieniem żarliwie modliła. Czy i ten rodzący się dzień ma minąć jak inne? Ma ją zostawić w rozterce, walczącą ostatkiem sił? Jak długo jeszcze będzie jej się odnawiała łaska światła...

Wtłacza palce w oczy, czuje gałki płonące przez powiekę. Nagle łzy spływają jej do warg.

— Jakiż Ty jesteś Boże straszliwy! Tylko Ty możesz za moje obelgi i wzgardę mścić się miłością...

Tyle razy czuła, że coś ją odrywa, zabiera ze sobą, wlecze. Opierała się wtedy z wszystkich sił. Dziś poddaje się. Czuje że coś w niej pękło, razem ze łzami taje i spływa.

Wstaje ciężko opierając się o parapet. Szyba mętnieje od oddechu.

— Jadę, szepcze.

* * *

W tej chwili ojciec Jan pochyla się nad Hostią. Jest to chwila najgłębszej ciszy, chwila najpokorniejszego uwielbienia.

Na górze słychać tylko klekot sandałów, jakby głosy aktorów wchodzących na scenę.

Życzenia
Wesołych Świąt
składa wszystkim swoim
Przyjaciołom
i Nieprzyjaciołom
Redakcja »ODRY«

Przejawy ruchu muzycznego na terenie Dolnego Śląska

Na początku był chaos. Zadanie „pionierów" ruchu muzycznego ograniczało się do masowego wywozu instrumentów muz., księgozbiorów, oraz nut pod hasłem zabezpieczenia wartości kulturalnych. Na szczęście fala ta szybko przepłynęła i już od dłuższego czasu weszliśmy w tok należytej pracy nad rozbudową muzycznej kultury na Ziemiach Odzyskanych. Niewątpliwie trudności piętrzyły się z dnia na dzień coraz większe. W pierwszym rzędzie brak fachowo wykształconych rezerw pracowników utrudniał ujęcie poszczególnych dziedzin budzącego się życia. Ośrodkiem organizacji stał się Wrocław, siedziba województwa, który działał przez swój organ wykonawczy, Wydział Kultury i Sztuki.

Prace organizacyjne poszły w kilku kierunkach. Przede wszystkim ustalono rygory dla należytego zabezpieczenia, oraz przydziału instrumentów muzycznych, które Niemcy pozostawili w znacznej ilości a w wielu wypadkach pierwszorzędnego rodzaju. W dalszym ciągu skoncentrowano uwagę na zapewnieniu bytu napływającym muzykom, — repatriantom, zdemobilizowanym żołnierzom. Dzięki inicjatywie mgr. Syryłły została zorganizowana na terenie Wrocławia orkiestra symfoniczna. Zespół ten, występując początkowo pod firmą Zarządu Miejskiego, przekształcił się z czasem w Filharmonię. Dotychczas notujemy 18 koncertów symfonicznych z udziałem wybitnych solistów polskich jak: Dr. Wandy Roesler-Stokowskiej, Ewy Bandrowskiej-Turskiej, Zbigniewa Drzewieckiego, Jana Hoffmana, Piotra Łoboza, Eugenii Umińskiej, Alfreda Szenkera i Józefa Madei. Ponadto orkiestra brała udział w akademiach i uroczystościach państwowych. Na specjalne wyróżnienie zasługuje działalność opery Dolnośląskiej, pozostającej pod kierownictwem Stanisława Drabika, który niezmordowanie pokonując przeszkody zwłaszcza materialne, organizuje na wysokim poziomie stojące przedstawienia operowe. Zaznaczyć należy, że opera cieszy się na terenie Dolnego Śląska dużym powodzeniem, oraz frekwencją publiczności. Przedstwienia „Halki", „Cyrulika Sewilskiego", a zwłaszcza „Rigoletta" skupiły zarówno w sali Teatru Miejskiego we Wrocławiu, jak też na objazdach w Wałbrzychu, oraz w Jeleniej Górze tłumy audytorium. Duża rutyna sceniczna i doświadczenie pozwalają Drabikowi na niezawodną orientację w obsadzie ról, oraz pierwszorzędny dobór wykonawców (Platówna — jako Halka, Bandrowska-Turska — w roli Rożyny w „Cyruliku", Tarska — w roli Gildy, oraz Dolak — w partii Rigoletta).

Doniosłą rolę w przyszłości spełni kiełkujące szkolnictwo muzyczne. W tej chwili zorganizowano na terenie Dolnego Śląska szkoły muzyczne we Wrocławiu, Lignicy, Świdnicy, Jeleniej Górze, Kłodzku. Młodzież zaniedbana w okresie okupacji, ograniczona w możliwości nauczania, tłum nie garnie się do muzyki. Odczuwa się brak pedagogów-muzyków. Ostatnio dzięki wysiłkom czołowych pracowników w dziedzinie Kultury i Sztuki, oraz chętnych do pracy społecznej artystów rozpoczęto cykl koncertów popularnych — t. zw. lekcji słuchania muzyki, dla młodzieży szkolnej, oraz mas robotniczych. Zadaniem tych imprez jest wychowanie muzyczne społeczeństwa przez odpowiednio przygotowane prelekcje ilustrowane muzyką. Akcja ta cieszy się zainteresowaniem i poparciem zarówno czynników rządowych jak i najszerszych sfer społeczeństwa. Prace te rozszerzono na teren całego Dolnego Śląska.

Zdzisław Dembicki.

Listy z Polskiego Zachodu

Dzień w Matejkowicach

Ziemie Odzyskane zasiedlają obok chłopa, kupca i robotnika także ludzie kultury. Edward Kozikowski, poeta starszego pokolenia z grupy poetyckiej „Czartak", osiedlił się w Matejkowicach pod Jelenią Górą.

Zaczyna się ten dzień dość wcześnie jak na porę zimową, bo przed szóstą rano. U drzwi rozlega się nieśmiałe pukanie. — „Kto tam?" — „Ich bin"... — słychać przytłumiony głos kobiecy. To Niemka, dawna właścicielka domu, który obecnie mnie przypadł w udziale tu, w Matejkowicach, jako częściowy ekwiwalent za zdewastowane i zniszczone mieszkanie w Warszawie. Bo czym można wyrównać tę niepowetowaną stratę książek, zbieranych z maniackim uporem, wśród których znajdowały się pierwsze wydania i Słowackiego, i Krasickiego, i Mickiewicza. Zwłaszcza jedna, mała i niepokaźna książeczka, oprawna w czarny półskórek. Tom pierwszy „Ballad i romansów" z własnoręcznemi uwagami Mickiewicza, pisanymi na marginesie i w tekście wyblakłym już i zrudziałym atramentem. Książeczka nosząca na sobie ślady męczeńskiej przeszłości. Przedziurawiona grubym szpikulcem w dwu miejscach przy grzbiecie, wszyta była jako załącznik do akt sprawy Filaretów. Na stronie wewnętrznej okładki frontowej krótka uwaga w języku rosyjskim: książeczka zawiera tyle a tyle stron druku i tyle a tyle czystych, niezapisanych kartek. Pamiętam ją, jak bolesny uśmiech mej matki. Tyle razy wracałem do niej, rezerwując sobie nieopatrznie na później jakąś chwilę do podzielenia się z czytelnikiem treścią komentarzy Mickiewicza. I gdy dziś uświadamiam sobie, że to już nigdy nie nastąpi, żal wzbiera, jak rzeka na wiosnę... Ale nie czas na roztkliwienia! Wracajmy do przerwanego wątku.

Niemka daje znać pukaniem, że czas nakarmić krowę i kozy. Schodzę zwolna po schodach na dół, nasycony jeszcze ciepłem łóżka, pełen sennych widziadeł. Powieki ciążą jak ołowiem. Otwieram trochę półprzytomnie drzwi obory. Owiewa mnie parujące ciepło o ostrym zapachu, drażniącym powonienie. Zwierzęta odwracają łby, wypatrujące pożywienia.

Ładuje się do żłobu siano, wykłócając się o każdy kosz, o każdą niemal naręcz z chudą, swarliwą Niemką, która stosuje metodę oszczędności, posuniętej do absurdu. Później znów targi o ziemniaki, których żałuje się krowie, uważając, że siano i woda powinny w zupełności wystarczyć. Udój poranny daje około trzech litrów mleka. Mało, grubo za mało! Krowa niedożywiona, chuda, głodzona przez długie tygodnie, nie może dać więcej. Sprawdzam wymiona. Wydojone do ostatniej kropli. Dlatego właśnie zamykam oborę na kłódkę i klucz zabieram do siebie. Dlatego asystuję przy każdym karmieniu i przy każdym udoju, aby skontrolować, czy Niemka nie kradnie i czy nie podaje faszywych danych co do ilości mleka. I znów trzeba zwracać uwagę, że gnój trza zebrać łopatą i odrzucić na bok, że dać więcej słomy na podściółkę. Bo ta przysłowiowa gospodarność niemiecka, o której tak się mówi przy każdej sposobności, tu w obliczu rzeczywistości widać, jak jest mocno przesadzona i raczej powiedzieć należy, że w ogóle nie istnieje. Niemcy są brudni i niechlujni, co wylazło, jak szydło z worka, właśnie teraz, gdy skazani są na przymusowe oszczędzanie i na konieczność wiązania końca z końcem. Żałowali sobie zawsze, choć mieli w bród wszystkiego, żałują i teraz, gdy urwał się dopływ produktów i towarów z krajów podbitych. Może w miastach było inaczej i ludność miejska, mając pod ręką łazienki i elektroluksy, dbała o zdrowie własne i o stan sanitarny mieszkań. Ale tu, na głuchej wsi dolnośląskiej, gdzie trzeba toczyć nieustanną walkę z przyrodą, która nie jest łaskawa, chłop niemiecki mało dbał o higienę i sprawa sanitarna była była dla niego tematem odświętnym. Rzuca się to w oczy tutaj na każdym kroku, widać, że wrosło to w psychikę niemiecką nie od dziś i że słowo „Niemiec" wcale nie jest synonimem porządku i czystości, jak to w nas wmawiano od wieków, w szkole i w prasie. Owszem, oszczędność, dochodząca do obrzydliwego skąpstwa. wpajana w tępe mózgi niemieckie przez różnych zbójeckich pastuchów, do których naród niemiecki miał wyjątkowe szczęście, sknerstwo to, polegające na gromadzeniu dóbr doczesnych i odejmowaniu sobie od ust byleby tylko odłożyć grosz, wychodzi na jaw przy każdej sposobności.

Po śniadaniu trzeba sprawdzić, ile jest słuszności w tych rzucanych od niechcenia pod nosem uwag Niemki, że siana nie starczy, że ziemniaków nie starczy przy mojej rozrzutnej gospodarce. Wdrapujemy się na strych i dalejże z Niemcami zaczynamy przerzucać siano. Już po paru przerzutach widać, jaki tutaj panuje ład i porządek. Siano związane ze słomą nie powiązaną w snopy i z trawą bagienną, używaną na podściółkę, wypełnia zakątki strychu. ,Trzeba wszystko to sortować, słomę wiązać w snopki, oddzielać jedno od drugiego. Polak z Kraju, który lata strawił przy biurku, poucza tubylców osiadłych z dziada pradziada na roli, jak należy przechowywać siano i słomę. Istotnie jedno i drugie czuć już gnilnym zapachem i niewiele brakuje, żeby siano stało się nie do użytku. Niemcy niechętnie i dość ociężale się poruszają, ale cóż, zarządzenie zarządzeniem i trzeba je wykonać. Później dopiero wychodzi na jaw powód tej ociężałości i ociągania się. Gdzieś, na spodzie, poutykane po kątach, leżą jakieś worki z mąką, skrzynki z owsem, koła od roweru, szapoklak w pudełku, kawa w paczkach, papier toaletowy, brykiety i mnóstwo drobnych rzeczy, gromadzonych z filatelistycznym maniactwem, tak charakterystycznym dla narodu niemieckiego, i z zaciekłą chciwością ukrywanych przed okiem ludzkim. Wszystko to — przykryte jakiemiś choinami, z których dawno już osypały się igły. aby trudniejszy był dostęp i aby szukająca ręka cofnęła się w porę. Zażenowanym Niemcom, tłumaczącym się gęsto, że koła od roweru to nie ich własność, tylko syna, który nie wrócił z wojny, mówi się parę słów do słuchu, że takie marnowanie darów bożych to — zbrodnia nie do darowania, że ziemia nie po to rodzi, aby płody jej skazywano na zagładę. Po sprawdzeniu okazuje się, że rzeczywiście mąka zalatuje stęchlizną, a owies pokrywa lekki nalot pleśni. Taka jest gospodarka niemiecka.

Po spenetrowaniu strychu i przerzuceniu siana zapędza się Niemców do porządków w całym domu, nie dlatego, iż przyszła wiadomość od sołtysa, że jutro, pojutrze zawita do Matejkowic starosta i będzie chodził po gospodarstwach, aby się przekonać, jak to Polacy się rządzą na nowych śmieciach, ale — że to leżało już od dawna w moich planach i czekało się tylko na jakiś odpowiedni moment, aby zamierzenie to wykonać. Trudno opisać; co się dzieje na różnych przygórkach, gdzie pełno schowków i jeszcze pełniej bezużytecznych rupieci. Stare brudne szmaty, pudła i pudełka, i znów brykiety, jakieś listy z ubiegłego stulecia i „Die Heilige Schrift" w opracowaniu Marcina Lutra, i hitlerowskie odznaki, i paczki proszku do prania, suchary i obierzyny ziemniaczane i skorupki od jaj, jednym słowem wszystko, co mieści się w zasięgu możliwości ludzkiej, znajduje się tutaj pochowane po zakamarkach, w niesamowitym bezładzie, pod pokrywą grubo nawarstwionego kurzu, w nieopisanym zaduchu. Zanim się to wszystko doprowadziło do porządku, zapada zmierzch i trzeba przerwać pracę do jutra.

Po obiedzie idzie się na zebranie gromadzkie do pobliskiej szkoły, bo jednak nie można uchylać się od obowiązków społecznych; choć zmęczenie fizyczne daje się dobrze we znaki, żyłka starego społecznika bierze górę. Na zebraniu, jak to na zebraniu, porusza się wszystkie bolączki, dając często folgę namiętnościom, wybuchającym może nieraz w sposób nazbyt krańcowy, ale niewątpliwie płynącym z pobudek szlachetnych. Piętnuje się na oczach wszystkich parszywe owce, które przynoszą wsi wstyd i ujmę, nazywa się po imieniu szabrownictwo i złodziejstwo. Jakaś porucznikowa ze łzami w oczach tłumaczy się, że wyniosła dywan z powierzonego jej opiece domu, bo ma męża chorego w Otwocku, który jest całkowicie na jej głowie. Inny znów osadnik, który przed paroma dniami powrócił z aresztu, spowiada się zresztą dość mętnie ze swych wyczynów, które zaprowadziły go do celi więziennej. Że ten pistolet to kupił od jakiegoś znajomka i to zepsuty, że go sam wyreperował, ale że wójt wiedział o tym. Że długie miesiące spędził z siostrą w obozach w Niemczech, gdzie go męczono i katowano. Że grubsze pieniądze zarobił na szkleniu domów, że nawet parę tysięcy dał na kościół i że go sam proboszcz z ambony wymienił jako dobroczyńcę. Zebrani jakoś nie dają się wziąć na lep tych roztkliwiających opowieści, działających jak krajana cebula. Wypowiadają się — poza jakiemiś paniusiami — rzeczowo i twardo, stoją na stanowisku bezwzględności. Skoroś wzięła i wyniosła, skoroś rewolwerem groził temu i owemu, to nie ma dla was wśród nas miejsca. My tu wszyscy pracujemy w pocie i w trudzie, by utrwalać na tej zniemczonej ziemi polskość, by ten grunt przeorać głęboko duchem narodowej samowiedzy, by obsiać go ziarnem szlachetności i uczciwości. Rozchodzimy się do domów późnym wieczorem, mając pełne uszy spraw drobnych, trochę maglarskich, ale od których trudno uciec i trudno się odgrodzić chińskim murem obojętności. zwłaszcza w tak niedużej wsi, Jak Matejkowice.

I tak minął dzień zimowy, jeden z wielu, który niewątpliwie tutaj, na Zachodzie trudniej przeżyć, niż napisać księgę. W międzyczasie, w jakichś wolnych od zajęć gospodarskich chwilach zasiada się do biurka i pisze się artykuły, robi się korektę „Śląska", układa się słowo wstępne do wygłoszenia przed koncertem czy przed stawieniem Wojewódzkiego Teatru Dolnośląskiego w Jeleniej Górze.

Zamiera dzień.

Ostatnie chwile przed spoczynkiem nocnym wyzyskuje się na przerzucenie gazet i pism, przewertowanie nowości księgarskich, odpisanie na listy, które poczta w ciągu dnia przyniosła.

Tak wygląda dzień roboczy osadnika i pisarza na najbardziej wysuniętej forpoczcie zachodniej. w samym pasie pogranicza.

Edward Kozikowski.

Wałbrzych! Wałbrzych!

Wałbrzych, w kwietniu.

— Daleko jeszcze do placu Grunwaldzkiego? — zwraca się do mnie w tramwaju z pytaniem młody człowiek. Dowiaduję się, że pochodzi gdzieś spod Pruszkowa. Obrzydła mu ciężka dola robotnicza, jedzie więc w poszukiwaniu lżejszego zajęcia na zachód. Tu podobno brak ludzi. Ma więc nadzieję, że może uda mu się uzyskać jakieś **kierownicze** stanowisko. Ostatecznie, zgodziłby się i na prowadzenie przydzielonego przez T. Z. P. jakiegoś sklepu z większą ilością towaru pozostałego po Niemcach...

Gdy wyrażam wątpliwości co do pomyślnych rezultatów tych zamierzeń, nie wierzy mi, spogląda nieufnie i nie próbuje już nawiązywać dalszej rozmowy.

Nie jest to wypadek odosobniony. Traktowanie Ziem Odzyskanych jako terenu łatwych możliwości wzbogacenia się jest wciąż jeszcze dosyć powszechne. Zapatrywanie takie, wszędzie w konsekwencjach ujemne, w okręgu ściśle przemysłowym, jakim jest Wałbrzych, staje się tragiczne. Największą tu bolączką jest chroniczny brak robotnika polskiego. Reflektantów na stanowiska kierownicze w przemyśle czy administracji są setki, robotników niema prawie wcale: Jak opowiadał jeden z dyrektorów wielkich przedsiębiorstw budowlanych, dziennie przyjmuje on około 40 petentów o pracę. Angażuje przeciętnie jednego na dwa dni. Reszta — to „kierownicy" bez minimum kwalifikacyj.

Skąd nader powolne zmniejszanie przeważającego stosunku pracujących niemców do Polaków. I tak dla przykładu: delegatura Ministerstwa Odbudowy na 40 tys. pracowników i robotników posiada tylko 3 tysiące Polaków. W żadnej z kilkunastu kopalni węgla nie pracuje więcej Polaków niż Niemców. Dochodzi do takich absurdów, że dla buchalterii i administracji, prowadzonych w przedsiębiorstwach głównie przez Niemców, pisze się raporty i rachunki w dwu językach.

Niemców w Wałbrzychu i najbliższych okolicach jest jeszcze dużo. Śmieszne i celowo fałszywe są rozpaczliwe pienia poniektórych organów prasowych Europy Zachodniej o rozpaczliwej sytuacji Niemców w Polsce. Ubrani przeważnie lepiej od Polaków, lepiej na ogół stoją też finansowo. Warto zajrzeć np. w sobotę do sklepów z mięsem. 90 procent kupujących i to pokaźne ilości towaru — stanowią Niemcy. Zresztą, jeżeli i zarabiają nawet gorzej od naszych robotników, to do pokątnej sprzedaży mają jeszcze dużo przedmiotów, niekoniecznie nieodzownych, z czego mogą się niezgorzej utrzymywać.

Zaczynają przenikać do Wałbrzychu i wpływy organizacyj podziemnych niemieckich. Na terenie pogranicza sudeckiego od kilku już miesięcy rozwija ożywioną działalność t. zw. KUF. („Kampf um Freiheit") o tendencjach „antynazistowskich". „Wehrwolf" na Dolnym Śląsku nie miał bowiem mocnego poparcia. KUF. w Wałbrzychu, o ile można się zorientować, znajduje się chyba jeszcze w stadium organizacyjnym. Jak fama niesie, KUF. otrzymywać ma poparcie ze strony czeskiej.

Jak najprędsze pozbycie się elementu niemieckiego jest troską miasta. Nie da się tego osiągnąć bez poważnego zastrzyku siły fachowej polskiej. W dzisiejszej sytuacji wysiedlenia Niemców z Wałbrzycha unieruchomiło by cały przemysł. Stanęłyby kopalnie węgla, nie mogłyby pracować huty szklane, przerwałyby się prace nad odbudową. Trzeba więc jak najliczniejszych rąk roboczych polskich.

I tak — dalszy pobyt Niemców komplikuje sytuację mieszkaniową, zaczyna się już bowiem odczuwać brak pomieszczeń dla osiedleńców polskich. Trochę mieszkań uwalnia się dzięki dobrowolnej repatriacji Niemców, wyjeżdżających w kierunku granicy za pewną opłatą autami sowieckimi. Ilość tych ochotników nie przekracza jednak kilkudziesięciu tygodniowo.

Napływowi większej ilości pracowników i robotników Polaków przeszkadza rzeczywiście ciężka sytuacja materialna. Z wyjątkiem przemysłu, gdzie pensje są wypłacane regularnie, większość urzędów i instytucji, jak starostwa, Urzędy Ziemskie czy skarbowe, operuje jak dotąd systemem t. zw. zaliczek. Z wyjątkiem Zjednoczenia Energetycznego, dodatek 50-procentowy dolnośląski nigdzie prawie nie jest wypłacany.

A proporcja stawek płacy do cen jest stanowczo za niska. Weźmy jako przykład stołówkę Zjednoczenia Węglowego. Od osoby z rodziny robotnika pobiera się 20 zł. dziennie — co w stosunku miesięcznym wynosi zł. 600. Jeżeli rodzina składa się z 4 osób, wyniesie to w tymże stosunku 2400 zł. — więcej, niż wynosi przeciętna pensja. A mieszkanie, światło, opał, jakaś gazeta, teatr czy kino — na to już niema skąd czerpać pieniędzy. Otwiera się pole do szabrownictwa i wszelkich nadużyć łapówkarskich. Uczciwi wolą zrezygnować z osiedlenia i powracają do centrum kraju. Stąd nie rzadkie wypadki t. zw. reemigracji wewnętrznej.

Niemniejszą bolączką Wałbrzycha są trudności aprowizacyjne. Brak zapasów na miejscu przy dorywczym, nieregularnym dowozie wpływa na olbrzymią zwyżkę cen, szczególnie tłuszczów. Transport prywatny artykułów żywnościowych został oficjalnie dozwolony dopiero od kilkunastu dni — dotychczas podlegały one konfiskacie.

Sprawa transportu przedstawia się fatalnie. Chociażby opału. Wszędzie piętrzą się w Wałbrzychu olbrzymie góry świetnego koksu. Cena — 314 zł. za tonę. Ale przetransportowanie chociażby o parę ulic wynosi od tony conajmniej to samo, a nawet i więcej. Istniejący tabor też nie jest należycie zorganizowany i wykorzy-

stany. Np. firma transportowa „Krause" — obecnie upaństwowiona, posiadała uprzednio troje koni i zabezpieczała byt jednej rodziny. Dziś — te trzy konie zarobić muszą na byłego właściciela — Niemca, zarządcę Polaka i jego pomocnika. A więc 3 rodziny. W skutkach — i konie wyglądają jak szkielety i ceny transportu są niepomiernie drogie.

Dużym minusem Wałbrzycha jest nieregularna jeszcze kwestia szkolnictwa, szczególnie średniego. Głośnym echem odbiła się tu sprawa gimnazjum koedukacyjnego, gdzie brak subwencji (gimnazjum bowiem zorganizowało się samorzutnie) omal nie doprowadził do likwidacji uczelni. Sytuację uratował komitet rodzicielski, opodatkowując rodziców po 150 zł. od ucznia na pensje dla nauczycieli. Pomocy ze strony urzędowej mimo ciągłych interwencyj niema i nadal...

Do dziś dnia brak jest ogromny szkolnictwa zawodowego, tak nieodzownego w rejonie przemysłowym, jakim jest Wałbrzych. Czas by zorganizować chociaż jakiekolwiek kursa dokształcające dla niedouczonych fachowców. Istnieje wprawdzie oświata pozaszkolna dla młodzieży, ale o charakterze raczej ogólnym, nie zaś fachowym.

Mimo tych wszelkich trudności i braków, życie tak ekonomiczne, jak kulturalne rozwija się powoli lecz stale.

Wszystkie kopalnie są w ruchu, a wydajność ich przewyższa o wiele zakreślone planem wymagania. Transport węgla w głąb kraju zorganizowany jest w zagłębiu dolnośląskim lepiej niż gdzie indziej. Tutaj nie mieliśmy wypadków palenia się hałd węglowych. Huty szklane pracują i zwiększają produkcję. Liczba nieuruchomionych dotąd fabryk i zakładów przemysłowych maleje z tygodnia na tydzień. Rzemiosło i drobny przemysł prywatny otrząsają się z psychozy tymczasowości i rozpoczynają normalną pracę.

Nie brak i w pracy przemysłu pewnych niedociągnięć, czy nawet już i przeholowań w inicjatywie i energii. Oto np. Zjednoczenie Energetyczne w usilnym staraniu o podniesienie skali swych dochodów, sprawdza przy pomocy całego sztabu kontrolerów ilość kontaktów w poszczególnych mieszkaniach. Od kontaktu pobiera się dodatkowo zł. 13. Uderza to głównie we właścicieli licznych pensjonatów w Solicach-Zdroju i innych uzdrowiskowych miejscowościach podmiejskich. Przy przeciętnym stanie dwóch kontaktów w pokoju a ilości tych ostatnich np. 40 — wyniesie to w prostym rachunku 1040 zł. Nie każdy „Jacuś" czy „Jadzia", przy nikłej jak dotąd frekwencji, podobne obciążenie wytrzyma...

O istotnie silnym ożywieniu życia kulturalno-społecznego Wałbrzycha nie będzie świadczyć oczywiście panująca tu dzisiaj formalna mania zebrań. Wszędzie się słyszy i czyta o jakichś konferencjach, obchodach, wiecach i sprawozdaniach. Partyjnych, międzypartyjnych, nad- i pod-partyjnych, towarzyskich, literackich czy zgoła grafomańskich.

Faktem jest, że miejscowe społeczeństwo polskie przejawia w ostatnim okresie dążenie do zorganizowania życia społecznego, na miejsce panującej tu dotąd zupełnej pod tym względem anarchii.

W myśl tych dążeń zawiązał się ostatnio komitet, mający na celu zorganizowanie życia artystycznego w Wałbrzychu. W programie najbliższym przewiduje się organizację poranków symfonicznych, zebrań o charakterze literacko-artystycznym, uruchomienie bibliotek

Zarząd miasta organizuje wielką wypożyczalnię książek przy pomocy specjalnego komitetu bibliotecznego. Poczynione zostały starania w Min. Oświaty o przekazanie Wałbrzychowi bibliotek polskich zza Bugu. Władze sowieckie obiecały swoje poparcie w tej sprawie. Niezależnie od tego nawiązany ma zostać kontakt z Uniwersytetem Jagiellońskim dla przeniesienia na Dolny Śląsk zbiorów bibliotek krzemienieckiej.

Pęd do organizowania życia kulturalnego tak powszechnie zapanował w Wałbrzychu, że nawet „Społem" pragnie utworzyć bibliotekę ogólną. Inna rzecz, że nie tyle z własnych funduszów, ile z darów społecznych. Bardzo to chwalebne, ale czy nie lepiej byłoby, żeby prace nad kulturą i oświatą pozostawiono czynnikom specjalnie do tego powołanym, a samym zorganizowało się lepiej dostawy aprowizacyjne...

Zawiązane zostały niedawno i przejawiają ożywioną dosyć działalność „Caritas", Czerwony Krzyż, Tow. Opieki nad żołnierzem itp.

Całość życia społecznego i kulturalnego koncentrować się będzie w największej sali miasta (b. kino „Capitol"), zajętej dziś na dom Czerwonej Armii, a mającej być wkrótce przekazanej miastu. Przeniesie się tu wtedy i teatr miejski, mieszczący się dziś za miastem. Teatru własnego Wałbrzych nie posiada. Przyjeżdża tu natomiast przeciętnie raz w tygodniu teatr jeleniogórski.

Duże ożywienie wprowadziły zorganizowane ostatnio występy artystów z całego kraju, jak Gardy, Habdank-Kozubskiego i innych.

Miasto się rozrasta. Nie tylko na skutek przybywania coraz nowych osiedleńców, ale i skutkiem przyrostu własnego. Najmłodszy obywatel polski wyzwolonego Wałbrzycha (matce zarząd miasta ofiarował premię — 2 tysiące zł.) dobiega już 8 miesięcy wieku, wyprzedzając około 100 swych kolegów — urodzonych wałbrzyczan. A są i dalsze nadzieje. Co dnia niemal widzi się jadące staromodnymi kolasami korowody weselne...

Eugeniusz Paukszta

Marian Niewiarowski

CZAS W DROGĘ

(Fragment powieści.)

Tego dnia padał deszcz i jak zwykle staliśmy w dwuszeregu, wyprostowani, bez czapek i marynarek. Już minęły dwie godziny, a Binek jeszcze nie przyszedł. Zmoknięte do szczętu koszule przylepiały sie do ciał, a spodnie zwisały, jak rury deszczowe. Woda docierała wszędzie i było przejmujące zimno.

Nigdy nie wiadomo było, dokąd nas Binek zaprowadzi. Miał on swoje specjalne pomysły. Dwa dni temu wywieziono ulicę Rynkową — była tam i matka Kolomana — natychmiast zjawił się Binek i nasza kolumna poszła odrazu do zalewania dołów wapnem. Nie wiem, czy Koloman odnalazł wśród zwału trupów swoją matkę, widziałem tylko, że nad jednym z dołów, obok którego nikogo nie było, stał długo, niezwykle długo i zalewał mniej wapna, niż potrzeba było. Widziałem go zdaleka i chciałem podejść, ale natknąłem się na Edka, który odradził.

— Zostaw go — powiedział — daj mu przyjść do siebie. Jak wróci pogadamy.

— O czym można było mówić po powrocie? Wiedzieliśmy wszyscy dokładnie: skończyło się, kropka, nie ma wyjścia, szlus. Wczoraj pani Tatiana — jutro sam Koloman. Wczoraj ulica Rynkowa, jutro nasza ulica. O czym tu mówić? Wstajemy rano, a słońce świeci, jak zwykle. Kładziemy się spać, a księżyc świeci, jak zwykle. Jest gorąco, więc znów pójdziemy ładować do wagonów. „Jadę na śmierć, Aneczko kochana, córko moja jedyna, gdziekolwiek jesteś, pomścij twego ojca, ty, która się uratowałaś!" „Ojcze kochany, piszę do Ciebie ostatni raz, już stąd nie ma wyjścia, jadę do Treblinki, skończyło się, jak pojedziesz tym samym wagonem, wiedz, że mnie już nie ma". „Śmierć Niemcom — za nasze męki — za nasze cierpienia — stokrotnie będą cierpieć — stokrotnie gorzej będą umierać — przeklęci mordercy, kaci — przeklęci .. —"

No i co z tego??? Zmywaliśmy te napisy gorącą wodą, a na wszystkich ulicach robiło się coraz bardziej pusto. Opustoszały szpitale i urzędy, cicho, spokojnie, uchodziło od nas życie codziennie rano, budząc nas tylko osamotnionym, przeraźliwym krzykiem mordowanej kobiety, albo straszliwym wyciem dziecka...

Jeszcze jeden krzyk, jeszcze jeden płacz... i to się skończy.

Ile jeszcze dni zostało? Tydzień, a może tylko cztery dni, póki dojdą do nas?

— No meine Herren — Unterscharführer SD Arnild Binek, rodem z Hamburga, były kelner, miewał niekiedy dobry humor — dzisiaj pójdziemy na dziewczynki.

Ilu was jest? Dziesięciu? Oh, es wird reichen...

Deszcz lał bezustannie. Szliśmy gęsiego za Binkiem, który z uśmiechem zdobywcy prowadził grupę. Karabin ręczny przez ramię, rewolwer u boku...

Zbliżaliśmy się powoli do grupy dziewcząt, a Koloman, który szedł za mną, zaczął je powoli poznawać.

Oto stoi Marta, Zuza, tej trzeciej nie zna, Ewa, Mira, a to kto? Koloman, Koloman, Edyta pójdzie z nami, zobacz, stoi w szeregu.

Uśmiechała się z daleka do Kolomana tak dziwnie, jak to ona potrafiła, i tak smutnie, jak tylko do Kolomana uśmiechała się...

Jeszcze teraz, kiedy już nie ma nikogo, pamiętam ten uśmiech i ilekroć spotykam przechodzące ulicą dziewczęta, przypominam sobie Edytę. Miała oczy nieco zamglone, spojrzenie powłóczyste, sentymentalne. Gdy patrzyła, zdawało się, że spogląda poza ciebie, ale widzi wszystko. Mówiła powoli, cedząc słowa, z rozwagą i ostrożnie.

Dokąd nas Binek poprowadzi?

Jak tylko wyszliśmy za bramę otoczyła nas grupa SS-manów, wtłoczyła nas w samochód i dopiero gdy motor zawarczał, znalazłem odpowiedź. Teraz na nas kolej, zwykła rzecz i nie rozumiem, dlaczego mamy się tak przejmować Ale w taką pogodę? Nie mogliśmy darować Binkowi, że wybrał taki dzień. Nieraz słyszałem to i nieraz widziałem. Odjazd... i nie ma powrotu. Tak pojechał Heniek Kort, tak pojechała Julia Utian, tak pojechała matka Julii i ojciec Heńka...

Jaka to ulica? Pojadą chyba do lasku w Grandziczach. To znaczy, jeszcze z 10 minut drogi. A potem? Czy jeszcze stoją tam te słupy, na których 3 miesiące temu powieszono 11 matek wraz z małymi dziećmi? Długo wisiały na wietrze, a chłopi okoliczni przechodzili ze strachem obok lasku, z trwogą w sercu oglądając ponure widowisko i żegnając się, omijali spiesznie to miejsce. Wisiała przez trzy tygodnie siostra Edka, Mela z przywiązanym do niej małym Fredkiem. Zdjęliśmy ją potem i zakopali obok wzniesienia, gdzie było mrowisko. Zjedzą je mrówki — mówił Edek — i głaskał zimne i oślizgłe czoło czteroletniego siostrzeńca.

A więc jeszcze 10 minut. Wyjdziemy z auta, rozbierzemy się, dziewczęta chyba później wykończą, ubrania zabiorą... Tak, ale przecież nie ma tam jeszcze dołów, więc będziemy musieli sami je kopać. To znowu przedłuży całą sprawę o 20 minut. A może już przed tym inna grupa przygotowała doły? A kto zasypie nas wapnem? Nie mogliśmy zupełnie zrozumieć takiego braku organizacji. Nasza była ostatnia grupa i innych t. zw. Hilfskolonne już dawno wykończono. Więc sami esesowcy to zrobią. Siedząc w aucie, uśmiechałem się do nich. Choć raz zabrudzą swoje eleganckie mundury. Ciekawe tylko czy będą strzelali z tyłu, czy też normalnie poustawiają nas przed dołami i każą odśpiewać jakąś wesołą piosenkę, a potem .. „położyć się, patrzeć prosto na mnie... i achtung, bald kommt das Ende..."

ODBUDOWUJEMY BIBLIOTEKI

W dniach Święta Oświaty dla popularyzacji taniej książki do dnia 15-go maja br.

PRUS, REYMONT, BALZAC

W AKCJI SUBSKRYPCYJNEJ

SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „KSIĄŻKA"

z premiami dla naszych czytelników.

Wypełnić i przesłać:

DO SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „KSIĄŻKA"
Łódź, Piotrkowska 86

Niniejszym subskrybuję i wpłacam na konto PKO VII/995 .....zł, cena w subskrypcji

..... PRUS Lalka	3 tomy	zł.	250.—
..... PRUS Faraon	3 „	„	250.—
..... REYMONT Chłopi	4 „	„	340.—
..... BALZAC Stracone złudzenia	5 tomów	„	560.—

Łącznie z przesyłką 15 tomów, około 5000 str. zł. 1.400.— Każdą książkę można zamawiać oddzielnie. Wysyłka w ciągu maja, czerwca i lipca br. W sprzedaży księgarskiej po cenach znacznie wyższych od sierpnia 1946 roku.

..... Dokładny adres ..... Podpis

Czytelnicy których numer karty subskrypcyjnej będzie podzielny przez 20, otrzymają **cenne premie książkowe.**

Lista premiowanych w najbliższych numerach pisma.

Dokumenty zbrodni

Dokumenty zbrodni i męczeństwa. Wydawnictwo Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie 1945. Str. 214.

Straszliwa książka, która musi poruszyć najbardziej odrętwiałe serca. Spokojna, oschła relacja najpotworniejszego męczeństwa, kronika wyszukanych tortur, protokuły zagłady całych milionów. Tu już nie odgrywa roli cierpienie jednostki, rozdarcie rodzin, praca nad siły i upodlająca śmierć, tu przedstawiono nam dokument zorganizowanego, prezycyjnego działania machiny hitlerowskiej, wyniszczającej całe żydowstwo europejskie, mamy niezbite dowody totalnej winy narodu niemieckiego, za którą napróżno oczekujemy totalnej kary.

Opisywane zbrodnie były dokonywane pod naszym bokiem, o krok, a jednak nie znaliśmy całej prawdy. Mur ghetta, presja hitlerowska i własne cierpienia oddzieliły nas dostatecznie. Byliśmy otępiali i choć wiedziało się, że gdzieś rozstrzeliwują i wywożą, mijało to bez zbiorowego odruchu, bez poczucia solidarności. Prawda, że byliśmy bezsilni. Ale zeznania nielicznych ocalałych Żydów oskarżają cały Ruch Podziemny, że zbyt mało udzielił im pomocy, mimo świetnie rozbudowanej sieci, oskarżają nas wszystkich, żeśmy nie przeciwdziałali dostatecznie judzącej propagandzie rasistowskiej.

W latach walki miałem dostęp do prawie całej prasy podziemnej. W obronie Żydów poważniej występowała prasa katolicka, nie ograniczając się jedynie do oczywistych frazesów nawołujących do współczucia. Muszę tu wymienić poważne pismo, o problematyce głównie etycznej, redagowane przez Zofię Kossak Szczucką — była nim „Prawda" warszawska.

Dlatego interesującym uzupełnieniem do historii martyrologii Żydów pod okupacją byłyby sprawozdania o udzielonej im przez Polaków pomocy, począwszy od ukrywania poszczególnych jednostek, aż po wcielanie całych grup w oddziały partyzanckie.

Gusta Dawidsohn - Draengerowa „PAMIĘTNIK JUSTYNY" Kraków 1946, str. 113.

„Pamiętnik Justyny" jest garścią kart ocalałych z więzienia, gdzie autorka, oczekując na wywiezienie do obozu, szczegółowo opisywała wzruszające próby stworzenia pierwszych ogniw Żydowskiej Organizacji Bojowej. Pomimo okrzyczanej solidarności plemiennej, młodzież żydowska musiała zwalczyć mnóstwo trudności, zgromadzić pieniądze na zakup broni, zorganizować biuro lewych dokumentów i ustalić meliny. Wrogami byli nietylko Niemcy i chciwi, gotowi do szantażu chłopi, ale i wewnątrz murów ghetta krążyli szpicle. Żydzi, którzy dla ratowania swego nikczemnego życia i lepszego żarcia, wydają na śmierć swych braci. Młodzi chłopcy i dziewczęta instynktownie wkraczają na drogę walki, nie dadzą się spokojnie zabijać, organizują obronę i atak. Jesteśmy świadkami podporządkowania jednostek, ofiarowania mienia i życia organizmowi zbiorowemu, zespołowi, który ma rozwalić mury i ułatwić drogę do wolności.

Cała ta szczupła książeczka jest jednym hymnem na cześć przyjaźni i ofiarności, pełna uwielbienia i podziwu dla tych, którzy swe życie za sprawę oddawali łatwo i prosto. Justyna wie co ją czeka, ale idzie na śmierć odważnie. O sobie mówi niewiele, chce przedewszystkim pokazać nam towarzyszy, którzy w niej rozniecili zapał i ugruntowali wiarę, że krew i cierpienie nie idą na marne, że przed nimi jest wolność i odrodzenie narodu.

Wojciech Żukrowski

Sprawy teatru

Wilam Horzyca — profil człowieka teatru

W tych tygodniach minęła rocznica otwarcia pierwszego powojennego sezonu teatralnego w Katowicach. Pierwszą powojenną dyrekcją kierowali: Karol Adwentowicz i Wilam Horzyca. A oto wspomnienie o Wilamie Horzycy, człowieku teatru:

Dzieje teatru tworzą nie tylko autorzy, aktorzy i reżyserzy, inscenizatorzy, ale też inicjatorzy i organizatorzy, oddani bez reszty tej sztuce jak dawniej Koźmian, Pawlikowski a dziś niewielka grupka ludzi teatru tego pokroju, z Wilamem Horzycą na czele.

Dzieje Wilama Horzycy, człowieka teatru są proste, choć pełne treści. — Dwadzieścia lat z górą temu obejmuje w Warszawie kierownictwo literackie Teatru im. Bogusławskiego, gdzie pracuje kilka lat, potem kierownictwo Państwowej Szkoły Dramatycznej późniejszego Pistu. Przez lat siedem jest dyrektorem teatrów lwowskich, wreszcie osiąga godność dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie. Po przerwie lat wojennych w najcięższych warunkach organizuje Teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach, a obecnie prowadzi Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu. Tu spotkał go zaszczyt, który musi być w dziejach sceny polskiej szczególnie podkreślony: Wilam Horzyca został pierwszym w Polsce wykładowcą, który otrzymał katedrę teatrologii nowokreowaną przy toruńskim uniwersytecie.

W którymkolwiek teatrze pracował od zaczątków swej kariery do chwili obecnej, wszędzie był znakomitym rzecznikiem wielkiego polskiego repertuaru w pogłębionej inscenizacyjnej formie. Jako dyrektor Państwowej Szkoły Dramatycznej rozbudzał kult wielkiego repertuaru swojskiego i zagranicznego.

Dążenie to i umiłowanie monumentalnego teatru nie na powierzchownych, płytkich pobudkach, jest oparte a zrozumiałe być dopiero może na tle książki Wilama Horzycy „Dzieje Konrada".

Cztery zawarte tam prace zasługują na szczególną uwagę „Dzieje Konrada" (stąd tytuł całej książka), „Wieszcz wolnej Polski" (C. K. Norwid), „Półbogi i sielanki" (Rzecz o „Achilleidzie"), „Między dawnymi a przyszłymi laty".

Najjaskrawiej rysuje się profil duchowy W. Horzycy w rozprawie tytułowej. Jest to mówiąc górnym stylem, rodzaj mistyki narodowej opartej na poezji naszych wielkich twórców. Symbolem ciągłości dziejów tej mistyki jest mickiewiczowska postać Konrada. Widzi jego ducha Horzyca nie tylko w „Dziadach", ale w całej twórczości Mickiewicza. Widzi go w tragicznych dziejach martyrologii polskiej i apoteozę w czynie „Wyzwolenia".

W szkicu „Wieszcz nowej Polski" zobaczył u Norwida przede wszystkim pozytywny stosunek do „obecności", do rzeczywistości i jego uniwersalną koncepcję religijną świata. Daje więc twórczość Norwida, ów pomost między koncepcjami romantyzmu, a współczesnością naszych prac i ideałów.

W ciekawej analizie „Achileidy" Wyspiańskiego zatytuowanej „Półbogi i sielanka" podkreśla, że wielkiemu dramaturgowi chodziło o wolę i myśl przyszłego Polaka. W spuściźnie więc najlepszych naszych poetów wieku XIX widzi łączność „między dawnymi, a przyszłymi" laty, której ostatnim ogniwem był Wyspiański.

Na tle tych poglądów rozumiemy, że dla Horzycy każde wystawienie któregoś z arcydzieł dramaturgii polskiej jest umożliwieniem infiltracji idei wieszczów w żywy organizm naszej społeczności, jest odbudową i pogłębieniem możliwości kulturalnych Polski.

Tylko głęboko motywowane stanowisko artystyczne było zawsze dźwignią sztuki, takie to stanowisko zajmował i zajmuje zawsze Wilam Horzyca, dlatego też każdy sezon teatralny jego pracy przynosi wciąż nowe, wysokowartościowe pozycje dla ogólnopolskiego repertuaru.

Prace najnowsze w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu potwierdzają w pełni nasze mniemania.

Władysław J. Dobrowolski

Teatr rapsodyczny

Śląski Oddział Związku Zaw. Literatów zaprosił do Katowic na kilka gościnnych występów krakowski Teatr Rapsodyczny, w zamiarze zapoznania publiczności katowickiej z dorobkiem tej nowej, oryginalnie pomyślanej sceny. Teatr ten bawił w Katowicach w dniach 6 i 7 bm., dając trzy podwójne spektakle, na które złożyły się: „Hymny" Kasprowicza, Mickiewicza „Pan Tadeusz" oraz zmontowane z tekstów kilku autorów „Słowo o Kościuszce" i „Bajka".

Każdy spektakl Teatru Rapsodycznego to skondensowana poezja. Może więc błędem było łączenie w jedno przedstawienie dwóch „sztuk", z których każda obliczona jest na godzinę. Był to dla przeciętnego widza (powiedzmy raczej słuchacza) ładunek zbyt duży i trochę nużący. Bo Teatr Rapsodyczny ma więcej cech wspólnych z radiowym „Teatrem Wyobraźni" niż z normalną sceną. Wrażenia wzrokowe odgrywają w nim rolę zupełnie drugorzędną. Składa się na nie tylko nieskomplikowane zgrupowanie aktorów, bardzo oszczędny i ograniczony do momentów koniecznych gest, gra świateł i kostium bardzo prosty w swej romantycznej stylizacji. Główną rolę gra słowo poety. I trzeba powiedzieć, że zespół Teatru Rapsodycznego ten zasadniczy element swej gry opanował znakomicie. Zwłaszcza powiedzieć to trzeba o kobiecym trio zespołu, złożonym z Haliny Kwiatkowskiej, Danuty Michałowskiej i Krystyny Ostaszewskiej. Piękna, nieskazitelna dykcja, inteligentna, miejscami urzekająca interpretacja tekstu, świetne zgranie w recytacji zespołowej, duża, pełna naturalnej prostoty dynamika — wszystko to decyduje o nieprzeciętnej wartości Teatru i czyni go doskonałym środkiem szerzenia kultu wielkiej poezji.

Z rzeczy pokazanych nam w Katowicach przez Teatr Rapsodyczny wyróżniły się bezsprzecznie „Hymny" i „Słowo o Kościuszce". Pomysłowo i ciekawie zmontowany z tekstów Rostworowskiego, Bogusławskiego, Nowaczyńskiego i Reymonta, rapsod o Kościuszce porywał słuchacza dynamiką i siłą wyrazu. Skrót tego montażu wykonany przez zespół Teatru w radio katowickim nosił wszelkie cechy teatru radiowego, a odznaczał się przy tym doskonałym wykonaniem. Sceniczne wykonanie „Hymnów" wydobyło i uwydatniło bez reszty wszystkie dodatnie cechy kasprowiczowskiej poezji, często trudne do uchwycenia dla przeciętnego odbiorcy w czytaniu, to też słusznie spotkało się z gorącym przyjęciem publiczności. Montaż sceniczny z „Pana Tadeusza" miał wiele szczęśliwych i uroczych momentów, uwydatniał miejscami specyficzny liryzm tej epopei, przekonywał siłą wyrazu w finale, ale w całości był z natury samego poematu i konieczności dużych skrótów więcej statystyczny nż dynamiczny, co na scenie szczególnie się odczuwa. Jeśli natomiast chodzi o „Bajkę", to poza wyróżniającym się pięknym wykonaniem Rydla „Bajki o Kasi i królewiczu" całość była raczej bezbarwna i rozwlekła. Teksty Tetmajera, Staffa, Mickiewicza i Słowackiego wyszły blado i nieciekawie zwłaszcza „Król Bobo i królewna „Lala".

Dla Zw. Zaw. Literatów jako organizatora występów Teatru Rapsodycznego w Katowicach była to pierwsza próba tego rodzaju. Publiczność reagowała żywo i serdecznie, ale mogło jej być dwa razy więcej. Zwłaszcza brakło wśród niej młodzieży szkół średnich. To był błąd. Nie mniej na usprawiedliwienie dodać trzeba, że sala teatru Zw. Zaw. Kolejarzy, w której odbywały się przedstawienia, oddana w administrację p. Juliusza Glatty'ego nie spełniła tu zadań, jakim powinna służyć. Nieodpowiedzialne poczynania p. Glatty'ego sprawiły, że nie można było gościny Teatru Rapsodycznego należycie wykorzystać i rozplanować, gdyż sala pomimo zamówienia jej przez Zw. Literatów na określone dnie została w ostatniej niemal chwili na wieczór niedzielny ddana na rewię z Fertnerem. Wynikło zamieszanie, które zmusiło do zmiany układu przedstawień i skreślenia ostatniego najlepszego pod względem pory spektaklu. Byłoby pożądanym, by ZZK. zrewidował swą umowę z nieposiadającym najmniejszych kwalifikacyj do tych funkcyj administratorem oraz by w kwestię tę wglądnęły urzędowe czynniki, sprawujące opiekę nad sprawami kultury.

Nie mniej gościna Teatru Rapsodycznego w Katowicach pozostawiła wrażenie dodatnie i raz nawiązany kontakt Śląska z tą krakowską placówką teatralną powinien być kontynuowany.

Zdzisław Hierowski

Kronika czeska

Na terenie Czechosłowacji, przylegającym do Polski, można od pewnego czasu obserwować interesujące objawy rozwoju ruchów o charakterze regionalnym, dążących do pielęgnowania właściwości kulturalnych pewnych określonych okolic czy obszarów, ewentualnie nawet do wyodrębnienia ich w pewne całości o pewnym własnym charakterze. O ile poprzednio termin „regionalizm" mało był w Czechosłowacji spotykany, o tyle teraz nie tylko, że określa się pewne ruchy mianem regionalnych, ale próbuje się zdefiniować samo pojęcie regionalizmu.

Jednym z tych pogranicznych regionalizmów jest regionalizm „laski". Na pograniczu śląsko-morawskim, w górskiej okolicy, żyje ludność, mówiąca odrębną gwarą, t. zw. laską. Jeszcze w r. 1934, poeta Ondra Łysohorsky*) ogłosił w języku „laskim" zbiór poezyj „Śpiwajuco piaść", wprowadzając tym język „laski" do grona języków literackich: skolei w 1935 r. wyszedł tegoż autora „Hłos hrudy" w tejże gwarze, wreszcie przed rokiem wyszedł najnowszy jego tomik „Pisne o słunci a zemi", obejmujący m. in. i wiersze pisane w czasie obecnej wojny na emigracji w Rosji. Śladem Łysohorskiego poszli i inni, którzy do niego nawiązali i też zaczęli pisać w gwarze „laskiej", a więc przede wszystkim Józef Bilan, który pod pseudonimem Józef Sinowski wydał świeżo powieść „Hałdy na roli".. Jest to powieść z drugiej połowy XIX w., z ziemi hawierzy; tym, którzy zostali na roli w kraju „laskim", przeciwstawieni są inni, którzy poszli na ziemię hawierską i zamienili pług na kilof. Drugi kontynuator Łysohorskiego to Jan Stunawski, górnik z Ostrawy, który jeszcze w r. 1940 zadebiutował poezjami „Spew hawirza" a obecnie wydał zbiorek „Melodyje z hur". Sinowski i Stunawski są samoukami i należą właściwie do literatury ludowej.

Tak jak w literaturze uwidocznił się „region laski", tak znów w ogólnej problematyce kulturalnej wyodrębnił się ostatnio region „valaski" albo podbeskidzki, obejmujący sąsiednie obszary „Morawskiego Valasska". Towarzystwo Teatru Beskidzkiego zaczęło właśnie wydawać pismo „Nova Lubina", którego zadaniem ma być „dążenie do wyższego stopnia kulturalnego, gospodarczego i społecznego kraju beskidzkiego". „Nova Lubina" otwarcie mówi o regionaliźmie: „Gdy naczelnym hasłem pracy w nowej republice stała się zasada decentralizacji. Nova Lubina chce się przyczynić do wybudowania wzorowego regionu wałaskiego". Poza tematami dotyczącymi regionu (o teatrze beskidzkim, o możliwościach eksportowych przemysłu beskidzkiego, o możliwościach utworzenia odrębnej „Zupy" wałaskiej) „Nova Lubina" poświęca sporo miejsca i ogólnym problemom regionalizmu (artykuły Jana Kolucha o dzisiejszych zadaniach regionalizmu czy A. Zavoskiego o problematyce teatru regionalnego i ludowego).

Z kolei zupełnie odrębnym i ostatnio wyraźniej zarysowującym się regionem staje się Śląsk. Ze względów administracyjnych (odrębność do 1928 r.) zawsze stanowił on pewną całość samą w sobie; ostatnio znów stała się aktualną kwestia samorządu dla ziemi śląskiej, do której by weszła zresztą i Morawska Ostrawa. Ale obok tego żywym ostatnio stał się na Śląsku Czeskim ruch regionalny o charakterze wybitnie krajoznawczym. Właśnie po siedmiu latach przymusowej przerwy wznowiła swą działalność czeska Matica Opawska i wydała nowy tom wydawnictwa „Slezsky Sbornik" z szeregiem naukowych rozpraw z ziemi śląskiej, jak o działalności czeskiego ekonomisty Chleborada w kraju Ostrawskim (Fr. Papouszek), o florze Hulczyńskiego (J. Veseli), zniemczeniu wsi Morawicy (A. Turek), drobnych czeskich drukach na Śląsku Cieszyńskim (S. L. Mikulasz), o śląskim Catonie (L. Zatoczil). Wznowiony „Sbornik" pragnie znacznie rozszerzyć zasiąg swych zainteresowań i objąć nim krajoznawstwo nie tylko kraju opawskiego, ostrawskego i cieszyńskiego, ale i całego Śląska, „który przecież przez całe wieki podlegał czeskiemu wpływowi kulturalnemu". Jako pismo wybitnie regionalne „Sbornik" zastrzega się przeciw „wąsko pojętemu, zapatrzonemu tylko w siebie regionalizmowi", któremu przeciwstawia „regionalizm zaprzężony do zadań ogólnonarodowych". Dlatego „musi być w ścisłych związkach z badaczami poza śląskimi, głównie morawskimi". Będzie równocześnie „śledził krytycznie wszelką krajoznawczą literaturę o Śląsku, także i obcojęzyczną". Będzie „trybuną wszystkich śląskich naukowych instytucyj, archiwów, muzeów, bibliotek, a przede wszystkim obecnie powstającego Śląskiego Instytutu Naukowego w Opawie".

Równocześnie obok Maticy Opawskiej tworzą się na Śląsku Czeskim inne instytucje jako ośrodki ruchów regionalnych. W niedzielę 10 marca utworzone zostało pod przewodnictwem dr V. Martinka „Towarzystwo im. Bezrucza" („Spolecnost Petra Bezruce"), która ma „śledzić wszelkie dziejowe i kulturalne związki śląskiej swojskości", śląskiego charakteru, na podstawie badań nad twórczością Piotra Bezrucza. Równocześnie powstało „Towarzystwo im. Pawła Krzyżkowskiego", mające zajmować się zagadnieniami muzycznymi na Śląsku, między innymi badaniem pieśni i muzyki ludowej.

Obok tych prac badawczych podjęto i pewne zamierzenia praktyczne: Matica Opawska rozpoczęła propagandę strojów ludowych na Śląsku, utworzyła koło pracowników etnograficznych, otwiera poradnie w sprawie strojów ludowych, organizuje krawców mających szyć ludowe ubiory.

Wreszcie rozpoczął się ruch regionalny i na terenie już nieco od nas dalszym ale tym niemniej poprzez Morawskie Valassko z tymi regionami się łączącym, na terenie tzw. Słowaczyzny Morawskiej („Moravske Slovacko"), tj. okolicy Moraw zaludnionej przez ludność pochodzenia słowackiego. Morawska Słowaczyzna zawsze się wyodrębniała swą bogatą kulturą ludową. Ostatnio zakrzątnięto się tam koło zorganizowania i skomercjalizowania wytworów ludowego przemysłu artystycznego i w tym celu stworzona została specjalna spółdzielnia. W Uherskim Hradyszczu, które jest stolicą tego regionu, powstał teatr „slovacki", zaczęło też wychodzić pismo regionalne „Literarni Slovacko"..

*) Ondra Łysohorsky, uciekając przed Niemcami, przybył w r. 1939 do Katowic. Przyjaciele jego twórczości, młodzi pisarze śląscy, daremnie próbowali stworzyć mu w Katowicach jakieś mocne podstawy materialne. Dla czynników urzędowych był przede wszystkim — komunistą, to też nie udało się go przesadzić do szkolnictwa średniego, w którym mógł wykładać języki obce. Razem z Jirzim Tauferem, obecnym redaktorem tygodnika marksistowskiego w Pradze p. t. „Tvorba", pomagał w wykonaniu audycji słowno-muzycznych p. n. „czeska hodinka", które rozgłośnia katowicka nadawawała dla Czechów. W dniu 31 sierpnia 1939 r. nadano stąd wiersze O. Łysohorskiego w recytacji autora po raz ostatni. Przygotowany przed wojną do druku tom wierszy laskich zachował się, oddany na przechowanie, u jednego z pisarzy śląskich w jedynym bodaj odpisie (Przyp. Red.).

Jan Reychman

Zbiorowe wydanie dzieł Jędrzeja Cierniaka

Ludowy Instytut Oświaty i Kultury postanowił przystąpić do opracowania zbiorowego wydania dzieł Jędrzeja Cierniaka. Zamierzony plan wydawnictwa ma obejmować nie tylko jego prace z zakresu kultury ludowej, ale ma również dać charakterystykę jego osobowości, odtworzyć ze wspomnień postać, dać obraz człowieka, wychowawcy, działacza społecznego, nauczyciela i pracownika oświatowego.

Instytut zwraca się tą drogą do wszystkich kolegów, przyjaciół współpracowników, współwięźniów i uczniów Jędrzeja Cierniaka, z prośbą i apelem o opracowanie wspomnień, któreby uwydatniły cechy Jego osobowości. Ponadto prosi Instytut o nadesłanie wszelkich materiałów, a to: ciekawszych, ze społecznego punktu widzenia, listów, notatek bibliograficznych, uwag J. Cierniaka — tyczących różnych dziedzin pracy społecznej, fotografij i wszystkich przyczynków, które do urzeczywistnienia zaprojektowanego wydawnictwa mogłyby być przydatne.

Wszystkie materiały należy przesyłać na adres: Prof. Stanisław Pigoń — Kraków, ul. Garbarska 7 a.

Życie nauki

Ukazał się 3. numer miesięcznika naukoznawczego „Życie Nauki", zawierający artykuły: Ludwika Sawickiego (Podstawowe postulaty organizacji nauki). Witolda Suchodolskiego (Na marginesie konferencji krakowskiej z 26. I. 46). Bogdana Suchodolskiego (Podstawy i zadania nauki — omówienie nowej książki angielskiej A. S. Nasha), Tadeusza Dowjata (O reprezentację zawodową pracowników naukowych) i Bogusława Leśnodorskiego (O celach związku zawodowego pracowników naukowych), Leona Białkowskiego (Potrzeby starożytnictwa polskiego), Henryka Batowskiego (W sprawie Instytutu Słowiańskiego w Polsce). Część informacyjna przynosi bogatą kronikę życia naukowego w Polsce i za granicą oraz Komentarze, których autor w nawiązaniu do tematów poruszanych przez prasę kulturalno-społeczną omawia zagadnienia humanizmu, rozwijając pogląd zwany humanizmem naukowym, analizując wartości wychowawcze humanistyki i przeprowadza metodologiczną dyskusję zagadnienia swobody wyboru stylu w literaturze. Numer dopełnia przegląd akt ustawodawczych, dotyczących nauki, sprawozdania z książek i dodatek angielski.

„Życie Nauki" jest poświęcone najaktualniejszym zagadnieniom nauki polskiej, zagranicznej i jej znaczeniu społecznemu oraz światopoglądowemu i dlatego czytać je powinni wszyscy, interesujący się problemami współczesnej kultury. Można je nabyć w placówkach „Czytelnika" i w innych księgarniach. Cena 3-go numeru zł. 30. Prenumeratę kwartalną (zł. 75) przyjmuje „Czytelnik". Adres Redakcji: Kraków, Szopena 1 — 7.

Książka Ziem Odzyskanych

Dr Władysław Jan Grabski: Polska nad Nisą, Odrą i Pasłęką. Nakładem autora 1945. Tłoczono w zakładach graficznych „Lignica". Stron 79.

Nareszcie idealna książeczka o naszej dziejowej walce nad Odrą i na szerokiej ziemi pomorskiej. Idealna, bo nie rezygnując z wierności historycznej podawanych faktów napisana jest z pasją i szczerością, jakiej w żadnym wydawnictwie o naszych Ziemiach Odzyskanych dotąd nie było. Zarówno próby podania montażu historycznego antagonizmów polsko-niemieckich na zachodzie i północy jak i wynikające z nich wnioski podane są w typie najlepszej popularności.

Książeczka ta powstała równo rok temu. Przez ten rok zżyliśmy się już z naszymi Ziemiami Odzyskanymi jako tako a zżywamy się z nimi wciąż jeszcze historycznie. Książeczka dr Grabskiego, znakomitego zresztą powieściopisarza, zyskała przez ten rok tylko na aktualności i lektura jej dziś zwłaszcza, po rocznym już gospodarowaniu na Ziemiach Odzyskanych, pomoże nam dobitnie w ostatecznym wyzwolenu w psychice polskiej zagrabionych ongiś ziem. W rozdziale „Prawa Polski do Pomorza i Śląska" nie ogranicza się autor do historycznych tylko przesłanek, ale prócz politycznych, strategicznych i gospodarczych praw Polski do tych ziem uznaje moralne prawo Polski, pisząc, że jest to „nasz moralny obrachunek z cywilizowanym światem, a w szczególności z Europą". Wychodzi on tutaj z założenia, że Polska jest zasadniczym przeciwieństwem Niemiec. „Polska nie po to walczyła nieugięcie z germaństwem, nie po to piętnowała ich podłość i okrucieństwo, kłamstwa i bezprawie, by naśladować ich w złym i sprzeniewierzać się chrześcijańskim cnotom, które nas wiodły dotychczas i dzięki którym trwamy niezłomni, a żywotni na gruzach absolutystycznych imperiów Niemiec i Austrii, naszych zaborców", ale „żądamy, by cały świat... napiętnował na wieki zbrodnię niemiecką przeciw słowiańszczyźnie, nagrodził, choć częściowo, krzywdę i stwierdził prawa moralne Polski do twórczego i wolnego bytu na prasłowiańskich ziemiach Europy."

Choć emocjonalny komentarz do historycznych faktów niezupełnie by może odpowiadał mentalności narodów zachodnio-europejskich, książkę należało by przetłumaczyć na ich języki, bo daje sugestywny skrót naszych tu nad Odrą zmagań i naszych praw.

Wydano ją w 50. tysiącach egzemplarzy. Niska cena (10 zł za egzemplarz) powinna spowodować, że książka ta znajdzie się nie tylko w bibliotekach publicznych lub stowarzyszeniowych ale także w biblioteczkach domowych wielu Polaków. **(brz)**

Ziemie Odzyskane w ilustracji. Pocztówki artystyczne. Seria I, 20 sztuk. Instytut Zachodni w Poznaniu.

Rzutka dyrekcja Instytutu Zachodniego wpadła na doskonały pomysł wydania kilku serii pocztówek, poświęconych historii, krajobrazowi, ludziom i pomnikom naszych Ziem Odzyskanych. Tematyka ilustracji pierwszej serii jest bardzo rozległa, bo geograficznie rozciąga się od Budziszyna po Olsztyn a treściowo zawiera obok zdjęć charakterystycznej architektury, związanej swym powstaniem lub dziejami z polskością i Polakami, zdjęcia krajobrazu (wspaniałe fotograficznie fragmenty Pojezierza Mazurskiego), pomników (pełen wdzięku motyw z posągu Regelindy, córy Chrobrego, w katedrze w Naumburgu; słynny grobowiec Henryka IV Probusa z kościoła Św. Krzyża we Wrocławiu).

Nowe to wydawnictwo Instytutu Zachodniego można szczególnie polecić szkołom i świetlicom, gdzie doskonale spełnia swą rolę, rozwieszone na ścianach w odpowiednim fotomontażowym układzie, wśród haseł powrotu polskiego na Ziemie Odzyskane.

Wykonanie jak na powojenne trudności typograficzne — solidne. Należało by tylko sobie życzyć, by następne serie ukazały się na sztywniejszym nieco papierze. Tak samo należało by unikać pozostawiania choćby nawet częściowo zamazanych napisów niemieckich. Tak np. pocztówka przedstawiająca kościół N. M. Panny w Słubicach razi niemile dużym napisem niemieckim na stojącej obok kamienicy. **(brz.)**

OKRĘG ŚLĄSKO-DĄBROWSKI POLSKIEGO ZWIĄZKU ZACHODNIEGO
wydaje obecnie wskrzeszony przedwojenny organ P. Z. Z.

«Strażnica Zachodnia«

„STRAŻNICA ZACHODNIA" ma przyczynić się do kształtowania i precyzowania tego co nazwać należy polskim programem zachodnim, który obejmuje krystalizowanie w opinii społecznej zasadniczych tez polityki i gospodarstwa na Ziemiach Odzyskanych jak i urabianie postawy wobec złego sąsiada za Odrą.

„STRAŻNICA ZACHODNIA" dawać będzie równocześnie syntetyczne oświetlenie — z polskiego punktu widzenia — procesów zachodzących na terenie okupowanych Niemiec.

CENA NUMERU 20 ZŁ.

Adres Redakcji i Administracji:
Katowice, ul. Powstańców Nr. 43. Tel. 369-01

Glossy i notatki

PRZEJAZDEM

Niemiecki gospodarz Gustav Sternck we wsi Karyszowice pod Strzelinem nie jest jeszcze wysiedlony Przeklinając wulgarnie brał się do bicia polskiego sołtysa, gdy ten prosił o konia na orkę. Odsyłał sołtysa-repatrianta „weg nach Galizien".

Krew wzburzyła się chłopom-repatriantom. Ale — odeszli.

Oto Niemiec wygrywa wojnę psychiczną z repatriantami, wygrywa ją **nawet wówczas, kiedy wyjeżdża z Polski.** Wyjeżdżając — przecież czuje się pewniejszy tych ziem („bald komm ich wieder"), aniżeli pozostający repatrianci („bo to jeszcze kto wie jak będzie").

Wojna psychiczna trwa.

*

Pewien ksiądz polski z Wrocławia udał się w sprawach służbowych do urzędującego jeszcze na Śląsku Dolnym niemieckiego proboszcza. Na swoje „laudatum Jesum Christum" usłyszał niemiecką odpowiedź, więc też odrzekł kurtuazyjnie po niemiecku „gruess Gott". Wtedy niemiecki proboszcz przekonany, że ma do czynienia z rodakiem, zbliżywszy się powiedział: — Da sind Sie auch von den leidenden Genossen?

Dlaczego niemieccy księża tak długo muszą cierpieć terror władz polskich? Przecież Administracja Apostolska we Wrocławiu mogła by z każdym niemieckim transportem na zachód wysyłać choćby po jednym „cierpiącym towarzyszu" duchownym.

A naszych księży wciąż jest na Ziemiach Odzyskanych za mało.

*

— Pan się narodowo bałamuci — powiedziała mi w autobusie pewna wykształcona pani, kiedy się cieszyłem, że coś się jednak robi i że wzrastamy zwolna w Nadodrze. A mnie tak wszystko na prawdę cieszy:

remont domu,
orka na polu,
wagony ze znaczkiem PKP,
polskie drogowskazy,
czapka studencka we Wrocławiu,
nasadzona na jajkach kokosza u osadnika,
dym z komina fabryki kafli pod Bolesławcem.

— Proszę pani, ja się doprawdy narodowo bałamucę, bo choćby taka banalna rzecz:

skowronki grają nad polami. **Zby.**

OPOLE

O rewindykację dzieła Wita Stwosza. Władze wojewódzkie w Katowicach wszczęły starania o rewindykację figury Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus i aniołami, zdefiniowanej jako dzieło Wita Stwosza z roku 1480. Rzeźba ta wywieziona została z Opola, przez wojska niemieckie w r. 1945.

„Zbiór poezji literatów na Opolszczyźnie". Opole, 1945. Pretensjonalna i błędna stylizacja tytułu. Następnie: czy rzeczywiście zbiór poezyj „literatów na Opolszczyźnie?" Autorzy pochodzą z różnych stron Polski, a wiersze tematowo nie mają nic wspólnego ze Śląskiem Opolskim. Tomik przynosi utwory: Skorupińskiego, Skobieńskiej, Michalaka i Kaschnitza. Poziom wierszy — nikły. Wiele wpływów obcych, dużo wody, — sporo niedbałości. Najsłabszy Skorupiński: „A czy ty pamiętasz, mogiły i cmentarz, sterczące kominy, kościołów ruiny? I świszczące kule, co szarpią koszule, w gruzach wszystkie domy, zburzone przez gromy?"

Może podać ramię Skobieńskiej: „W głębi słyszę echa granie, wstrzymać go nie jestem w stanie, Ty je tylko powstrzymasz, Panie z życiem, które męką za nie".

U Michalaka — przerost formy, lecz talent jest. Dobra stosunkowo pozycja Kaschnitza. Wiersze jego, to przynajmniej granica tych wartości, od których zaczyna się poezja.

„Twarzą na Zachód" — recital poetycki w Opolu. Wygłosili tu swoje utwory: Wilhelm Szewczyk, Jan Baranowicz, Józef Nacht, Aleksander Baumgardten i Wojciech Żukrowski. Wiersze Osmańczyka recytował art. dram. Orłowski. „Konferansjerkę literacką" prowadził Hierowski **W. Hlouszek.**

KRÓTKIE SPIĘCIA

Tadeusz Breza opowiada w Odrodzeniu o wizycie we Francji. Mimo, że na fotografiach widnieje Mauriac, Elouard, Aragon — rozmowy, które przytacza Breza odbywał z anonimowymi przedstawicielami głównych nurtów intelektualnych Francji. Może dlatego wypowiedzi ich są szczersze, bardziej charakterystyczne i wolne od zdawkowych komplementów.

Francja przeżywa ten sam kryzys co i cała Europa. Nauka i literatura robią wszystko, by zaciemnić światopogląd, podważyć każdy ustalony porządek. Żadne półśrodki lecznicze nie budzą zaufania. Francuzi są po prostu spragnieni mocnej ręki, mimowoli oczy zwracają ku Rosji, która im imponuje prostotą, surowością i pierwotną siłą. Liczą, że jeśli im nie dopomoże, to w zetknięciu z nią stworzy się na tyle silny ruch samoobrony, który mógłby ożywić bierne, spragnione spokojnego trawienia, masy mieszczańskie.

We Francji wysuwają się na czoło jak i u nas dwa mocne prądy, jeszcze nie przeciwstawne, ale już silnie rywalizujące mimo wzajemnych ukłonów — katolicyzm i marksizm. Katolicyzm uległ przemianie, oczywiście nie w dogmatach, ale upraktycznił się, rywalizuje radykalizmem społecznym, nie odkładając do Królestwa Niebieskiego, próbuje stworzyć ziemskie.

We Francji interesują się Polską, jako krajem będącym najbardziej w cieniu Rosji, krajem w którym krzyżują się trzy kultury. Nasze eksperymenty ustrojowe i ekonomiczne są na Zachodzie żywo komentowane.

W Odrodzeniu ukazuje się dalszy ciąg odpowiedzi na ankietę — „W pracowniach pisarzy i uczonych". Wśród powodzi nazwisk, znajdujemy wielu literatów, o których nigdy nie słyszeliśmy, którzy są pewnie znani jedynie redaktorowi Kuryłukowi. Dziwimy się mocno, że Redakcja Odrodzenia dotąd nie uświadomiła sobie, że Kraków i Łódź nie są jedynymi ośrodkami, że istnieją jeszcze Ziemie Zachodnie, na których jest wielu pracowników kultury. Żaden z nich nie otrzymał ankiety Odrodzenia mimo, że większość z nich jest współpracownikami tego tygodnika. Uważam to pominięcie za bardzo charakterystyczne i świetnie obrazujące różnicę między deklamacjami o misji literatury na Zachodzie, a jej praktycznym realizowaniem.

Gdy wskazałem na mentorskie stanowisko Odrodzenia, twierdząc, że w sposób nietaktowny wystawia nam cenzurki, w Kuźnicy pan **ph.** oburzył się na mnie. Cieszę się, że **Paweł Hertz** jest innego zdania i wraz z 17. Kolegami po piórze, pisze o Odrodzeniu — „w piśmie waszym jak w dzienniczku szkolnym wystawia się cenzurki..." Potrzeba było dopiero by tę cenzurkę wystawiono jednemu z bliskich znajomych, żebyście Koledzy przyszli na nasze podwórko.

Zbliżającą się rocznicę powstania śląskiego przypomina ciekawy artykuł **Pawła Kubika** w nr 7. Odnowy, omawiający udział ruchu robotniczego w walce o polskość Śląska.

Tadeusz Kudliński, dotąd ograniczający się do recenzji teatralnych w Tygodniku Powszechnym, daje nam w Odnowie reportaż ze Słowiańskiego Akademickiego Obozu Narciarskiego w Karpaczu.

W wycieczce tej brał udział znany Teatr Rapsodyczny dr Kotlarczyka. Teatr ten, który mieliśmy ostatnio przyjemność gościć w Katowicach, pokazał nam jaką wartością jest dobrze wypowiadane słowo. Ciekawa recytacja i naprawdę znakomity dobór tekstów, dał zwłaszcza w „Słowie o Kościuszce" niezapomniane wrażenie.

Ostatnio na Śląsku wzrosła aktywność Związku Zawodowego Literatów, który podjął się, prócz imprez objazdowych w Opolu i Bielsku, wydawanie dodatku literackiego do Gazety Robotniczej. Podobny dodatek pod redakcją J. Brzozy ma już Trybuna Robotnicza. Tam też ukazał się w związku z napływem literatów, bądź ich kłusowniczymi wypadami na teren Śląska, artykuł red. Markowskiego, o linii podziału między autochtonami a przybyszami. Artykuł ten w zasadzie słuszny, jest wart specjalnego przedyskutowania, gdyż środowisko śląskie nakłada specjalne obowiązki na pisarza, wymaga dużej dojrzałości i wielu rezygnacyj.

Przykładem literackich pomyłek jest dodatek dla dzieci „Hulajnoga" w Trybunie Robotniczej, pod red. Magdaleny Samozwaniec.

Poziom jego jest przerażająco niski, nie mówiąc już o żadnych walorach pedagogicznych. Dziwimy się, że **tak znana satyryczka, jak Magdalena Samozwaniec** może dopuścić, by jakaś wierszokletka podpisana MS zamieszczała niegramatyczne wierszyki w rodzaju „Spowiedź".

Jest to wyliczenie grzechów młodego zwyrodnialca i początkującego mordercy. Oto próbki:

„Wyliczę ci szereg grzechów:
Kto do ptaszków strzelał z procy,
kto pod siebie robi w nocy,
i ogony wiąże kotkom,
lalkę siostry rozbił młotkiem... itd."

A teraz odpowiedź tego młodego volksdeutsha, którego poznajemy po strasznej polszczyźnie i hurra patriotyźmie

„Wiem żem nieraz czynił źle,
ale żem nie porwał cep
Niemcu nie rozwalił łeb
To się liczy jako grzech
Chociaż może tylko pech..."

Obok sąsiaduje wierszyk również tejże MS, w którym zwierzątka oklinają się „psiakrew".

Zdaje mi się, że chowane w ten sposób dzieci wkrótce wezmą cepy i klnąc soczyście, znajdą redakcję Hulajnogi. (Magdziu, strzeż się!)

AGA

Co robią Niemcy

Pisma niemieckie rozpoczęły ostatnio wielką kampanię propagandową w kierunku udowodnienia, że współczesne życie kulturalne w Niemczech nawiązuje do najlepszych tradycyj wielkich humanistów niemieckich. Jest to robota nie na potrzeby wewnętrzno-niemieckie. Za wiele bowiem szafuje się tutaj porównaniami poetów i myślicieli niemieckich z wielkimi duchami Anglii, Francji czy nawet Ameryki. Niemcom zależy dziś bardzo na tym, by utracone do nich zaufanie odbudować przez wykazywanie pokrewieństw kultury niemieckiej z kulturą innych narodów zachodnio-europejskich. W całej tej akcji pomija się świadomie wszystkie, występne typy w kulturze niemieckiej, nie ma nawet prób usprawiedliwiania się, dlaczego i dzięki czemu takie typy mogły powstać i rozwijać się. Niektóre pisma berlińskie w gorliwości swej poszły tak daleko, że wykazują, ile to pokrewieństw duchowych łączy literaturę niemiecką z literaturą rosyjską. Jako przykład podaje się m. in. przejmujący, nastrojowy wiersz Rilkego o krajobrazie rosyjskim. „Tylko Niemiec — pisze „Die Volkszeitug" — mógł odczuć tak głęboko głos krajobrazu i duszy rosyjskiej".

Berliski „Der Morgen" uchylił cośkolwiek rąbka **nowego niemieckiego indeksu.** Mianowicie oddział oświaty ludowej przy magistracie miasta Berlina przy współpracy Izby Pracowników Sztuki i Zrzeszenia Kulturalnego dla demokratycznej odnowy Niemiec sporządził listę autorów, których wszystkie książki zakazane są w bibliotekach i czytelniach publicznych. Do autorów tych należą Hans Friedrich Blunck, megaloman i S. A. Mann ze złotą odznaką partyjną, jeden z pierwszych prezydentów Izby Piśmiennictwa Rzeszy; A. Bronnen; Edwin-Erich Dwinger, który po wrześniowej kampanii w Polsce, z nadmiernej gorliwości napisał kłamliwą książkę o rzekomych gwałtach, popełnionych w Polsce na osobach narodowości niemieckiej; Ernst Glaeser; Paul Grabein; Mirko Jelusich, autor historycznych powieści, pisanych z niewątpliwym talentem, ale ostatnio zanadto pod sznur urzędowego pojmowania historii przez narodowy socjalizm; Hans Johst; Hans Christoph Kaergel (którego wspaniałą bbliotekę prywatną pod Jelenią Górą oferuje pewien urzędniczyna za 20 tysięcy złotych); Felix Lueckendorf; Gerhard Menzel; Herbert Menzel, szowinistyczny „Volksdeutsch", urodzony w Oborniku w Wielkopolsce; i Ulrich Sander. Częściowo zabroniona jest twórczość Rudolfa G. Bindinga, Hansa Carossy, Fallady, Kolbenheyera, Wilhelma von Scholza i kilku innych. Przeglądając ten spis, dziwimy się niepomiernie. Jeślli już jest bowiem mowa o współczesnych, to dlaczegóż nie ma tu poetyzującego kronikarza ruchu hitlerowskiego Anackera, którego książki w kilkuset tysięcznych nakładach wydawał sam Franz Eher Verlag? Gdzież się podział Gerhard Schumann? Lista jest niekompletna, tak jak niekompletne jest wyczucie zła, tkwiącego w duszy niemieckiej, pełno w nim luk. Pełny indeks literatury niemieckiej musi być opracowany ratychmiast. Książki pisarzy hitlerowskich są bowiem sprzedawane po dziś dzień w miastach niemieckich (ba — sprzedają je także niektórzy polscy księgarze na Ziemiach Odzyskanych, nie orientujący się snać w zawartości tej literatury).

Plastycy niemieccy przeżywają prawdziwą orgię wystaw. Tematyka współczesnego malarstwa niemieckiego w niczym nie odbija przemian politycznych, jakie się w Niemczech dokonały. Poznikały z płócien zadzierżyste zady koni, ciągnących armaty błotnistymi, ukraińskimi szlakami, poznikały obandażowane głowy żołnierskie i ręce, rzucające granaty, wszystko to, co tak chętnie było widywane na dorocznych Kunstausstellungach w Monachium. Z wczorajszej tematyki pozostały jedynie obnażone piersi jasnowłosych matek, karmiące pulchne niemowlęta, jedyna patriotyczno-polityczna poniekąd manifestacja współczesnego malarstwa niemieckiego. Natomiast pełno jest obrazów zbóż, fali rzecznej, martwej natury, z dominującymi w niej fotografiami poległych na wojnie synów i mężów, stojącymi obok rumianych gruszek i bananów. Poza tym widoczny jest śmieszny już dziś trochę nawrót do form ekspresjonistycznych. Wystawa młodych malarzy w Hamburgu udowodniła m in., jaką popularnością cieszy się u młodych t. zw. entartete Kunst, przeklęta w hitlerowskich Niemczech, a podzwaniająca nieświeżymi już dzisiaj formami. Rzeźba przedstawia się skromniej, być może, że wciąż jeszcze trwa wpływ Thoraka i Arno Brekera, którzy hodowali kamiennych herosów o twarzach niemieckich. Te parę aktów dziewczęcych w marmurze i drzewie, jakie ujrzeliśmy w Hamburgu, mogło by chyba świadczyć o ubóstwie tematycznym niemieckiej rzeźby.

A cóż z muzyką? Jak malarstwo i rzeźba tak i muzyka t. zw. monumentalna runęła. Kochają się w Niemczech w melodiach tanecznych anglo-amerykańskich, rozgłośnie radiowe zaś nadają z płyt tę całą muzykę taneczną lekką czy ludową, która słuchana była z upodobaniem w czasie wojny. Nie ma tylko marszów, ale od czegóż 9 milionów zarejestrowanych odbiorników radiowych? Jeśli się chce posłuchać niemieckich marszów wojskowych, to wystarczy przekręcić wskazówkę na Londyn, Pragę lub Warszawę, skąd co dzień prawie płyną dźwięki niemieckich marszów lub piosenek marszowych z obcojęzycznym podkładem słownym.

Drogi współczesnej kultury niemieckiej są niejasne i wydaje się, że nie kierują się według jasno ustalonych programów. Rozmach życia kulturalnego i dość silna podstawa materialna poczynań kulturalnych nie uratują Niemiec przed głębokim kryzysem twórczym. Być może, że kryzys ten nie zbyt będzie dostrzegalny, ostatecznie nigdy nie braknie w Niemczech pieniędzy na książki, teatry, filmy. Alianci też ich nie poskąpią. Kryzys twórczy objawi się jednak w tym, że cały ten ruch kulturalny w niczym nie wpłynie na rzeczywistą odnowę duszy niemieckiej. Oryginalna twórczość, związana ściśle z problemami współczesności przy tym artystycznie dojrzała, długo pozwoli na siebie czekać. Kultura niemiecka żyć będzie długo jeszcze zapożyczeniami z kultury obcej i dawniejszej niemieckiej. W zapożyczeniach tych nie zdoła się pomieścić sens współczesności niemieckiej.

Z jednej strony rozmach, wspaniała oprawa techniczna, z drugiej pustka wewnętrzna, bezideowość i ćma. Krocząc takimi drogami, kultura niemiecka osiąga zewnętrzny rozkwit ale wnętrze jej długi czas nie będzie meblowane. Stare meble trzeba było wyrzucić, a o nowych nie wiadomo jeszcze, z czego będą zbudowane i jaki będzie ich kształt.

Nie pomoże strojenie się w piękne piórka przed zagranicą, wykazywanie duchowych pokrewieństw. Powstawanie kultury nowej i bezgrzesznej musi mieć za warunek powstanie nowej psychiki niemieckiej. Na razie wszystko rośnie i rozkwita, ale brak w tym wszystkim serca i duszy. Widoczny jest najwyżej rozum, ale chytrzący się, przekorny, zadziwiająco nierozsądny. **(wisz)**

Nauki historyczne we Wrocławiu

W organizowaniu nowego ustroju społecznego — tam zwłaszcza, gdzie nie ma tradycji własnej państwowości i rozgrywać się musi walka nie tylko o utrzymanie terytorium, ale i o nadanie specjalnej fizjognomii duchowej ludności tak osiadłej jak i napływowej — poważną rolę odgrywają nauki historyczne. Ich zasiąg i metody ograniczają się wtedy nie tylko do naukowego poznania przeszłości, celem uzasadnienia historycznych praw do danej ziemi, ale dostarczyć również muszą materiału czynnikom państwowym przy rozwiązywaniu problemów językowych (polszczenie nazw), społecznych, gospodarczych i kulturalnych.

Ta korelacja nauki z bieżącym życiem państwowym najsilniej występuje na terenie Śląska, gdzie dopiero z chwilą zorganizowania uniwersytetu we Wrocławiu, można przystąpić do poważnych badań naukowych, których wyniki mogą stać się realną podstawą polityki państwowej.

Taką instytucją naukową, która zajmuje przodujące miejsce w życiu umysłowym Śląska, jest wrocławski Instytut Historii zorganizowany w maju 1945 r. w niesłychanie ciężkich warunkach.

Niemieckie władze po częściowej ewakuacji ludności pozostawiły zakłady naukowe w fatalnym stanie, bez należytego zabezpieczenia wywożąc cenniejsze zbiory na prowincję. Instytut Historii tak świetnie rozwinięty od drugiej połowy XIX w., pozbawiony został prawie że całkowicie swych zbiorów. Na podstawie pozostałych ksiąg inwentarzowych oraz katalogów — można jedynie w części odtworzyć bogate zbiory kompletowane pieczołowicie przez całe zespoły specjalistów, przy czym należy podkreślić, że na żadnym prawie uniwersytecie niemieckim nie były tak silnie rozwinięte nauki historyczne, jak właśnie we Wrocławiu ze względu na jego kresowy charakter. Była to istotnie „brama wypadowa" nauki niemieckiej, zwłaszcza, że chodziło tu o Wschód. Niemiecki Instytut Historii, do którego działalności przyjdzie nam nie raz powracać — pełnił rolę wywiadu naukowego i dostarczał władzom wojskowym niesłychanie cennego materiału, co szczególnie podkreślano w „wynurzeniach" urzędowych, był instytucją poważnie rozbudowaną, posiadając jeszcze w r. 1944 około dziesięciu wykładowców oraz bibliotekę złożoną z kilkudziesięciu tysięcy tomów. Z inicjatywy również Instytutu kreowano Instytut Europy Wschodniej (kierownik prof. Koch, referent spraw polskich dr Gotthold Rhode), którego jednym z główniejszych zadań było dokładne zestawianie i tłumaczenie prac oraz najmniejszych nawet artykułów dotyczących stosunków polsko - niemieckich. Sam również główny inicjator Instytutu prof. Herman Aubin, szowinistycznie nastrojony, kierował systematycznie pracami, które zasięgiem chronologicznym i terytorialnym dotyczyły Śląska oraz ziem polskich.

Na gruzach tej przeszłości przystąpiono do organizowania polskiego ośrodka historycznego. W pierwszym stadium jego rozwoju od 15.5.1945 do 10.12.1945, w którym to okresie najpoważniejszą rolę odegrał prof. Maleczyński; oprócz prac wstępnych naukowo-administracyjnych — zabezpieczono opustoszałe sale Instytutu przed grabieżą i niszczeniem, co udało się osiągnąć dzięki energii kierownika i studiującej młodzieży.

W drugim etapie, skoro przybyły pierwsze siły asystencke, zdołał prof. Maleczyński po przezwyciężeniu trudności transportowych przywieść z okolicznych wsi część biblioteki historycznej, tj. około 6.000 tomów, które wspólnie ze szczupłym gronem współpracowników (3 osoby) rozdzielono na poszczególne zakłady.

Najlepiej wyposażona w dzieła naukowe jest Katedra Historii Śląska (około 3.000 tomów). Jeżeli chodzi o zagadnienia śląskie, jest to najlepiej wyposażona katedra ze wszystkich polskich i niemieckich uniwersytetów. Obejmuje ona nie tylko wydawnictwa źródłowe, czasopisma (często istotnie białe już kruki), zbiory kartograficzne — ale i bogate przeźrocza, czym żaden prawie z przedwojennych polskich instytutów nie dysponował.

Szczególnie cenne również dzieła posiada Katedra Historii Nowożytnej. Epoka Bismarcka np. jest prawie wyczerpująco opracowana. Niestety jest to literatura wyłącznie niemiecka o znikomym procencie polskiej, angielskiej czy francuskiej. Dzieła polskie, które w dawnym Instytucie były bardzo silnie reprezentowane, zostały wywiezione. Pozostało zaledwie 30 dzieł polskich, które powróciły na dawne swe miejsce, choć na podstawie dawnych inwentarzy, można podać w przybliżeniu, jakie posiadał Instytut „polonica". Obecnie po upływie trzech miesięcy, mimo niedostatecznych dotacji, posiada Instytut Historii około 300 dzieł polskich, co może już służyć za podstawę do pracy pedagogicznej.

Natomiast do stosunków polsko-niemieckich posiada Katedra Historii Polskiej bardzo bogatą literaturę (w języku niemieckim), przewyższając i w tym dziale polskie i zagraniczne uniwersytety.

Na podkreślenie zasługuje również bezcenny zbiór przeźroczy dotyczących historii średniowiecznej i nauk pomocniczych historii.

Obecnie Wrocławski Instytut Historii, choć najmłodszy i mimo swego kresowego położenia, nieodpowiednio dotowany i zdany wyłącznie na swoje siły, gdy chodzi o wypożyczanie książek z innych bibliotek, stał się najpoważniejszym ośrodkiem naukowym Śląska. Już obecnie Instytut ściąga badaczy z różnych okolic Śląska, korzystających z Biblioteki Historycznej, lub przeprowadzających badania terenowe.

Z chwilą przybycia do Wrocławia prof. Modelskiego jednego z najwybitniejszych obecnie znawców historii powszechnej, został dokonany podział na dwa Instytuty: Historii Polski i Historii Powszechnej. Katedrę Historii Nowożytnej objął świetny wykładowca krakowski prof. Władysław Czapliński.

Z inicjatywy prof. Maleczyńskiego zorganizowano Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Historii, którego pierwsze odczyty wywołały poważny oddźwięk w społeczeństwie wrocławskim. Już same tytuły odczytów: „Herb miasta Wrocławia" (prof. Maleczyński) i „Rozwój terytorialny miasta Wrocławia" (mgr Andrzej Jochelsin) — wskazują, że terenem badawczym T-wa stanie się Śląsk, chociaż w swoch założeniach programowych postanowiono uwzględniać również i tematy ogólno-historyczne. Oprócz odczytów dla szerszej publiczności urządza T-wo zebrania wyłącznie naukowe, przeznazone dla historyków. Jednym z pierwszych był odczyt prof. Opatrnego: „Miejska biblioteka we Wrocławiu" — oparty na nieznanych dotychczas źródłach archiwalnych.

W miesiącu maju ma ukazać się również pierwszy numer oficjalnego organu T-wa: „Vratislavia", do którego są już przygotowane materiały. Już w tym stadium organizacyjnym, mimo braku funduszów, wykazuje T-we wiele żywotności, wzbudzając silne zainteresowanie na Śląsku, o czym świadczą najlepiej stale nadsyłane zgłoszenia na członków — jak i liczna frekwencja na zebraniach naukowych czy popularych.

Ze względu na teren jak i bogatą spuściznę naukową niemieckich towarzystw historyznych, które w rzeczywistości śląskiej już nie istnieją, jednak ich duch oraz dzieła docierają do każdego ośrodka naukowego zagranicą: i nieraz jeszcze staną się poważną przeszkodą w twórczości pracy naukowej, tak jak obecnie stają się bodźcem do wyrównania wiekowych zaniedbań w dziedzinie państwowej i naukowej — otwiera się przed Wrocławskim Towarzystwem Historycznym pole do działania.

Franciszek Kącki

Patrzymy na ekran

Katowicki barometr filmowych wydarzeń nie przewiduje w najbliższym czasie zbyt silnych wzruszeń. Co prawda, atrakcyjność filmów powinna wzrastać wprost proporcjonalnie do wzrostu temperatury w warunkach naszego klimatu. Wiemy wszyscy, że nasza wiosna i lato są porami przychylnymi raczej innym Muzom niż X-tej. Na lato trzeba nielada emocyj, żeby zwyczajnego widza ściągnąć z rozprażonego asfaltu, spod mrocznego cienia drzew w lunatyczne objęcia ekranu. Bardzo to poetycko powiedziałem, ale zbliża się czas, kiedy najwięksi prozaicy życia, jakimi są kierownicy kinoteatrów, muszą się liczyć z poezją. — Wiosna jest już i tylko naprawdę dobry film może znęcić jej romantycznych klientów. Oto mój atut i legitymacja.

Wracając do recenzyjnego obowiązku, zwracam uwagę na interesujący film amerykański z Robinsonem, w roli tytułowej („Prawo doktora Lindsay'a" — Kino „Union"). Rolę bezkompromisowego wroga szantażystów trapiących całe miasto, spełnia niezrównany manager z „Kida Galahad" — Ribinson, łatwo, raczej bez przekonania. Rola ta trochę za ciasna dla jego talentu i temperamentu aktorskiego, tak, jak za ciasna jest jego marynarka, w którą go ubrał, niewiadomo po co — reżyser.

„Biały murzyn" (kino „Zorza") polski film, nie niszczy pozycji Bałuckiego w literaturze polskiej. Na razie, dobre i to.

Przy okazji przypominamy raz jeszcze, że rok bieżący jest wielkim rokiem Filmu. Mija bowiem 50 lat od chwili, gdy pierwsze filmowe obiektywy, na razie umocowane na stałe w jednym punkcie, zaczęły podpatrywać ludzkie życie. Rejestracja czwartego wymiaru, materialne dotknięcie, pokazanie czasu, jako elementu stawania się ludzkości — oto, w czym leży atrakcyjność i dziwność genialnego wynalazku braci Lumiere.

O tym 50-leciu napiszemy jeszcze przy innej okazji obszerniej, jak w związku z takim wydarzeniem należy. Na razie — rejestrujemy.

Aleksander Baumgardten.

»Odra« zaczęła wychodzić jako tygodnik. Prenumerata pisma wynosi miesięcznie 28 zł, kwartalnie 80 zł. Prosimy o wpłacanie prenumeraty na konto P. K. O. III 4960.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik" — Nr R 17006